interia

SZTUKA WYPOCZYWANIA

TEKSTY NA WAKACJE

interia
SZTUKA
WYPOCZYWANIA
TEKSTY NA WAKACJE

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

interia
SZTUKA
WYPOCZYWANIA
TEKSTY NA WAKACJE

NA WSTĘPIE

Na stronach naszego portalu każdego dnia pojawiają się setki materiałów. Najciekawsze z nich, autorstwa naszych dziennikarzy, postanowiliśmy zebrać w tym wakacyjnym wydaniu, które możecie zabrać ze sobą na plażę, do pociągu czy poczytać wieczorem, odpoczywając po dniu pełnym wrażeń.

Znajdziecie tu niesamowite historie, opowieści ciekawych ludzi i miejsca, które warto zwiedzić. Dr Monika Wasilewska radzi, jak spędzić urlop, żeby naprawdę odpocząć. 77–letnia DJ Wika przekonuje, że należy żyć – z całych sił! Anna Sulińska opowiada o tym, jak żyły stewardessy w epoce PRL-u, a Lidia Pańków o historii budowanego w tych czasach warszawskiego Ursynowa. Łukasz Supergan oprowadza nas po górach Iranu – pieszo.

Przyglądamy się Polsce z lotu ptaka, Kubie w oparach cygar i w cieniu rewolucji oraz turystom w Tatrach. Podpowiadamy, gdzie wybrać się, by posłuchać dobrej muzyki we wspaniałych okolicznościach natury. Radzimy co jeść, by chudnąć i czuć się młodo, jak uchronić się przed kleszczami i jakiego robota sprawić dziecku.

Autorzy komiksu o Wilqu, bracia Minkiewiczowie, tak się zaangażowali w wywiad z naszym dziennikarzem, że nawet go później… narysowali. Nie dziwcie się więc, że kochamy naszą pracę, a jej owoce podajemy wam na tacy – w naszym ebooku na wakacje.

W imieniu redakcji serdecznie zapraszam do lektury!

Fot. Robert Słuszniak

Agnieszka Łopatowska,
dyrektor sektora Lifestyle, Interia

URLOP TO SZTUKA

Monika Szubrycht

Zaplanuj urlop tak, by maksymalnie odpocząć /©123RF/PICSEL

Uważam, że praca na urlopie powinna być zabroniona. Komórki, odbieranie ważnych telefonów, gonienie z laptopem, żeby znaleźć zasięg, bo trzeba coś tam sprawdzić w firmie – to jest skandal. Bo nie dość, że tego urlopu nie ma dużo, to jeszcze jest on zaśmiecany – mówi psycholog, dr Monika Wasilewska.

Monika Szubrycht: Czekamy na urlop jak na zbawienie, a kiedy już na nim jesteśmy, okazuje się, że wygląda całkiem inaczej niż ten z marzeń. Dlaczego tak się dzieje?

Dr Monika Wasilewska: – Myślę, że bierze się to stąd, że ludzie nie potrafią odpoczywać. Może nie wszyscy, natomiast sztuką jest znaleźć coś, co cię „odpoczywa". Urlop jest takim symbolem odpoczynku. To dłuższy czas, kiedy mamy wyjechać, zresetować się, wypocząć i wrócić wypoczęci. Niektórych stresuje oczekiwanie na efekt wypoczęcia na urlopie. Ale jeżeli wiemy, co lubimy, co jest dla nas odpoczynkiem, co nas relaksuje, to jest dużo łatwiej.

– Pomijam kwestie, gdy przez przypadek trafimy na złe biuro podróży, czy w miejsce, które okazuje się porażką. Np. lubisz jeździć w góry, mieszkać w domku, a okazuje się, że domek jest pełen dzikich turystów. Raczej chodzi w tym pytaniu, o to, jak ludzie znajdują wakacje, jak znajdują odpoczynek i dlaczego na końcu nie są wypoczęci.

Albo jadą razem, całą rodziną, myślą, że spędzą z ukochaną osobą trochę czasu, a podczas urlopu zaczynają się kłócić. Albo mają pretensję, że ta osoba nie zachowuje się tak, jakbyśmy chcieli.

– To jest druga kwestia. Pierwszą jest znaleźć miejsce, które dla mnie jest dobrym miejscem by odpocząć. Nie muszę robić tego, co wszyscy. Załóżmy, że w mojej pracy ludzie jadą nad morze, więc ja też, bo w tym roku jeździ się nad morze. Albo jadę do Egiptu, ponieważ zawsze jeździmy do Egiptu. Tymczasem musisz zapytać siebie, czego tak naprawdę potrzebujesz w tym roku? 20 lat temu lubiliśmy jeździć pod namiot, ale teraz już ten namiot nie będzie dla nas tak relaksujący. Nasze potrzeby zmieniają się z wiekiem i musimy być na bieżąco jeśli chodzi o ich weryfikację i definicję.

Co powoduje, że odpoczywamy?

– Trzeba wiedzieć „co”? A po drugie „z kim”? Ktoś może być singlem i znajduje sobie koleżankę, która też jest singielką. Jadą razem i często jest to jedna, wielka katastrofa. Może okazać się, że koleżanka ma dziwne przyzwyczajenia z naszego punktu widzenia, a pewnie z jej perspektywy my mamy dziwne i kompletnie się nie dogadujemy. Przy nadmiarze wolnego czasu różne cechy ludzi wychodzą i nie są one często kompatybilne z naszymi cechami.

A jeśli jedziemy z mężem i dziećmi?

– Zastanówmy się, jak wygląda nasz tydzień. Widzimy się wieczorem, rozmawiamy krótko przy kolacji, czasami nie rozmawiamy.

Zostają weekendy.

– W weekendy robi się różne rzeczy. Jeżeli byśmy sobie policzyli ile czasu spędzamy razem z mężem, z dziećmi, w ciągu tygodnia – realnego czasu, a potem – ile się przekłada go na weekend – nagle okazuje się, że to rodzi stres. Widzimy, że nie mamy o czym z sobą rozmawiać, albo, że ten ktoś nas po prostu denerwuje. Albo, że dzieci w takiej dawce są tak naprawdę bardzo męczące.

Są rodzice, którzy uważają, że urlop z dziećmi to nie urlop.

– Tak. Mam swoją teorię, którą realizuję i w moim życiu się sprawdza. Nie chcę jej wciskać komuś na siłę. Uważam, że przy normalnym trybie pracy, gdzie mama i tata pracują, a dzieci chodzą do szkoły, bardzo mało czasu spędzamy ze sobą tak, żeby się poznać. Pytamy, co w szkole, co w przedszkolu. Ogarniamy dom, dzieci zakupy itd. Nie mamy możliwości, żeby pobyć ze sobą. Wakacje to jest jedyny taki moment, a ludzie tego nie doceniają. Ci, którzy uważają, że czas z dziećmi na wakacjach to czas

stracony nie umieją się tym cieszyć. Robią np. tak, że dzieci wysyłają na obozy czy kolonie, a sami sobie jadą gdzie indziej. Albo organizują towarzystwo dla swoich pociech, czyli inne pary z dziećmi.

– Bardzo często słyszę: „No fajnie, bo jedzie koleżanka, która ma córkę w wieku mojej córki, albo syna w wieku mojego syna, bawią się razem i mamy ich z głowy". Fajnie. Ale kiedy mamy mieć kontakt z dziećmi, jeśli nie na wakacjach? Jak zapytałam mojego 24–letniego syna, co pamięta z dzieciństwa, to pierwszą rzeczą, którą powiedział były wakacje. Jeździliśmy na długie wakacje razem, od miesiąca do 6 tygodni. To była świętość, taki rytuał. Zresztą do dzisiaj jeździ ze mną – oczywiście nie ma miesiąc, tylko wpada na tydzień w miejsce, w którym jestem z młodszym synem czy mężem. Przyjeżdża chociaż na chwilę. To zapamiętał z dzieciństwa – wspólny czas, wspólne rozmowy, czytanie książek, zabawy, plaża w zależności od tego, gdzie akurat byliśmy.

– Wakacje są ważne dla dziecka. Można wtedy dowiedzieć się o czegoś o naszej latorośli, która bardzo się zmienia w ciągu roku rozwojowo i niespostrzeżenie. To jest nagle inny człowiek. Gdzie my mamy go poznać? Obserwując, jak się bawi z innymi dziećmi? Nie. Bo jak jedziemy z innym towarzystwem i z jego rówieśnikami, to to dziecko gdzieś wsiąka, mamy go z głowy, ale nie widzimy go, nie rozmawiamy z nim. Uważam, że to jest duża strata i dla rodziców, i dla dzieci.

– Gdy jeździłam na wakacje, miałam dwójkę nastolatków, a młodszy syn miał trzy lata. Musieliśmy tak zorganizować urlop, żeby w danym dniu każdy miał coś dla siebie. Plac zabaw dla małego, dla nas jakieś muzeum czy galeria, a dla starszych inne rzeczy. Negocjowaliśmy. Wieczorem ustalaliśmy, co robimy następnego dnia, ale tak, żeby każdy skorzystał, żeby wszyscy byli zadowoleni. Bo też miło jest, gdy widzisz, jak twoje dziecko się cieszy, chociaż ty za placem zabaw nie przepadasz. Ale potem

syn poszedł z nami do muzeum i też znalazł coś interesującego. Jest to sztuka – wymaga negocjacji, ale ma wartość. Po to jesteśmy rodziną i jesteśmy dla dzieci, żeby coś o sobie wiedzieć, zwłaszcza, jak pociechy są nastoletnie.

Nieraz bywa tak, że idziesz na urlop i zaczynasz chorować. Jednemu z moich znajomych zdarza się to notorycznie, rok w rok.

– To może być podświadome radzenie sobie z problemem, tylko pytanie – co to oznacza – że jak jestem chory, to nie jadę? Czy jadę chory i tam zdrowieję. Czy tak odreagowuję stres?

Albo, że ci ludzie tak ciężko pracowali, że przy życiu trzymała ich adrenalina. Nagle wiedzą, że nie muszą...

– Może tak być, ale to by znaczyło, że doprowadzili się do bardzo złego stanu, że, jak to mówią – „już ciągnęli na rdzeniu" i faktycznie teraz coś puszcza. To tak, jak żołnierz, który wraca z frontu. Kiedy walczy nic mu nie jest, ale jak wraca do domu dopada go depresja. Dlatego uważam, że urlop powinien trwać najmniej trzy tygodnie, ciągiem. Pierwszy tydzień to jest detoksykacja, drugi – odzyskiwanie sił, a trzeci – zbieranie zasobów na powrót. Cztery tygodnie to optymalna dawka. Wtedy można powiedzieć, że się odpoczęło, pod warunkiem, jak wspomniałam, że wiesz, co „cię odpoczywa".

Zdać się na biuro turystyczne, które wszystko załatwi i zaopiekuje się naszą wyprawą?

– Mam znajome, które lubią jechać z biurem turystycznym, lubią, żeby ktoś za nie decydował. Mają wszystko z głowy, wiedzą, kiedy śniadanie, gdzie wycieczki, ktoś za nie to wszystko organizuje. A ponieważ żyją tak,

że dużo ogarniają w ciągu roku same, więc relaksujące jest dla nich to, że o niczym nie muszą myśleć.

– Znam też takich ludzi i sama do nich należę, którzy lubią sami sobie zorganizować czas, nie chcą, żeby ktoś za nich decydował. Nie przepadam za negocjowaniem z innymi wycieczkowiczami. Lubię jechać, wynająć domek, decydować: dzisiaj plaża czy las i rower. Ma to też minus, bo jestem za wszystko odpowiedzialna. Ale jeżeli partner stara się być moim ojcem tylko partnerem, a dzieci są większe, to możemy się wspierać. Może być wesoło, a różne wpadki, które się zdarzają, nie muszą być stresem i tragedią, a mogą być czymś przyjemnym, a potem ciekawą historią do opowieści na powakacyjnych, jesiennych spotkaniach.

– W skali Holmesa, określającej poziom stresu, wakacje mają jeden punkt więcej niż święta Bożego Narodzenia. Obiektywnie sytuacja jest stresująca – dla jednych bardziej, dla drugich mniej. Wielu moich pacjentów powtarza mi, że stresują się tym, że muszą odpocząć. Wiedzą, że muszą, ale boją się, że przez tydzień, albo przez 10 dni im się nie uda, a potem już nie mają urlopu. Tak bardzo się denerwują, że nie zdążą odpocząć w tym okresie, są cały czas zestresowani tym, że mają odpoczywać, a dzisiaj nie odpoczęli, bo coś się stało, np. pokłócili się z żoną. To jest presja.

Błędne koło, jak u pijaka z „Małego Księcia", który mówił, że pije, bo się wstydzi, a na pytanie dlaczego się wstydzi odpowiadał, że dlatego, że pije...

– Jak chcesz odpocząć, nie możesz mieć presji, to się wyklucza. Jeżeli fundujemy sobie wakacje, mają być takie, na których nic nie musimy. Tylko możemy.

Piękne to brzmi „nie musimy, ale możemy". Ale jak zrobić, żeby wyczyścić swoje myśli? Z rzeczy związanych z pracą, czy problemami rodzinnymi. Żeby potrafić odciąć się od tego i wyjechać w siną dal?

– Uważam, że praca na urlopie powinna być zabroniona. Komórki, odbieranie ważnych telefonów, gonienie z laptopem, żeby znaleźć zasięg, bo trzeba coś tam sprawdzić w firmie – to jest skandal. Nie dość, że tego urlopu nie ma dużo, to jeszcze jest on zaśmiecany. Ma być reset, czyli nie ma pracy. Zamykamy wszystko przed i jedziemy. Jak mamy jechać z pracą, to lepiej nie jedźmy. Możemy wybrać się wtedy do Mszany Dolnej i tam popracować na świeżym powietrzu.

A stres związany z problemami rodzinnymi i myśleniem o nich? Nawet jeśli wyjeżdżamy na urlop, ale wcześniej coś złego się wydarza, trudno jest nam zapomnieć.

– Zależy jakiego kalibru są to problemy. Jeżeli mamy kryzys w związku, a w międzyczasie trafi się urlop i trzeba jechać z dziećmi w tym kryzysie, to nie jest to dobry pomysł. Lepiej żeby małżonkowie pojechali osobno, bo rozwiązywanie kryzysu, napiętej sytuacji, na urlopie się nie uda. Jeszcze jesteśmy rodziną, naprawimy coś na siłę? Raczej nie. Jeśli jechać to w dobrych nastrojach i w dobrej komitywie. Gdy jest inaczej, lepiej się podzielić. Powiedzieć wprost: „Słuchaj, mamy kryzys, musimy sobie z tym poradzić, iść na terapię, czy gdzie indziej szukać pomocy, a teraz dzieci jadą ze mną, potem z tobą, albo odwrotnie". A nie na siłę próbować być ze sobą tą straszną ilość godzin – 24 na dobę – gdzie i tak kryzysu nie rozwiążemy, bo nie będziemy o tym dyskutować – są dzieci i wszystko się tylko nakręca.

– Jeśli problemy dotyczą innych członków rodziny, to może być czas na spokojne wyciszenie się, przegadanie, zebranie myśli. Urlop jest czasem,

gdy można sobie pewne rzeczy spokojnie ułożyć, znaleźć rozwiązania, pomyśleć, jaką strategię opracować by wyjść z pułapki, w której czujemy, że jesteśmy. A może niekoniecznie w niej jesteśmy, tylko tak nam się wydaje.

– Myślę, że taki urlop może pozwolić nam odpocząć, odzyskać energię, wyciszać. Może dawać możliwość refleksji i spokojnego zaplanowania. Ja lubię planować w piątym tygodniu mojego urlopu. Jestem wtedy wypoczęta, mam siły i jak wracam robię plany na przyszłość, bo czuję taką potrzebę. Wiem, że nie każdy może sobie pozwolić na taki długi urlop, ale nawet gdybym jechała na trzy tygodnie albo na dwa, to pod koniec też bym tak zrobiła.

Często nie można mieć trzech tygodni w tzw. jednym kawałku.

– Tak, ale dwa tygodnie to jest takie minimum. Tydzień – absolutnie za mało. W ogóle nie ma co mówić, żeby po całym roku pracy odpocząć w tydzień. Szkoda czasu. Chorym pomysłem jest też branie urlopu po to, żeby zrobić remont w mieszkaniu. Pytanie: czemu to sobie robimy? Na ile się lubimy i czemu robimy sobie taką krzywdę? Chyba, że malowanie jest rzeczą, która najbardziej na świecie nas relaksuje, ale wątpię.

Skąd się to bierze?

– Część ludzi ma przekazy rodzinne, które mówią, że odpoczynek to lenistwo. Mam pacjentów, którzy nie dają sobie prawa do odpoczynku, bo tak im mówiono w domu, że trzeba cały czas pracować. Zawsze jest robota „przy domu”, wcześniej pewnie w gospodarstwie. Ludzie na wsi nie odpoczywają, a już na pewno nie odpoczywali dawniej, bo cały czas się coś działo. W wielu rodzinach są przekazy, że odpoczynek to grzech. Grzech lenistwa, zaniechania, bo można tyle rzeczy zrobić. Jeżeli pracuje

się w ciągu roku i dom się zaniedbał, to w czasie urlopu można ponaprawiać różne rzeczy.

– Tylko skąd człowiek ma potem mieć siłę i energię do pracy? Tego się nie docenia. Pojawiają się choroby i depresje, załamania, inne problemy, brak energii. Ciągniemy coś na siłę, a to w żaden sposób nie jest zdrowe. Myślę, że nie powinniśmy nazywać leniuchowaniem czegoś, co jest nam potrzebne. A często słyszę: „Czy to nie będzie takie leniuchowanie, jak w sobotę nie posprzątamy domu, kiedy zawsze sprzątaliśmy?". Oczywiście możemy go wysprzątać w sobotę, ale jedźmy w niedzielę gdzieś odpocząć. Co jest ważniejsze: ty, twoje zdrowie, czy remont mieszkania?

Może ludzie nie dają sobie szansy odpoczynku na urlopie, albo w wakacje planują remont, bo dla siebie nie są ważni?

– Jak oni się lubią, skoro tak postępują i dlaczego się krzywdzą? Dla kogo to robią? Żeby inni ich docenili? Kto? Jeżeli mówimy o przekazach – chodzi o to, że nasz wewnętrzny rodzic, czyli to nasze superego nas wtedy chwali. A gani jak leniuchujemy. To niestety jest zgubna droga. Podążanie nią do niczego dobrego nie doprowadzi, ponieważ mamy wyczerpywalną ilość zasobów. Z wiekiem tych zasobów mamy coraz mniej, a potrzebujemy coraz więcej odpoczynku, żeby się zregenerować.

Moja babcia, która była nauczycielką, nie potrafiła odpoczywać. Podczas długich wakacji robiła przetwory na zimę, remonty itp.

– Może tak było dawniej – pracowało się, nie było luksusu, sprzętów, pralek i różnych innych rzeczy. Może jej mama tak robiła, jej bacie też? To jest przekaz. Nie pracujesz cały czas, to myślisz, że jesteś nic nie warta, albo nie spełniasz oczekiwań wobec siebie, czyli spada ci samoocena, poczucie własnej wartości. A masz wartość tylko wtedy, kiedy cały czas

pracujesz, bo tak robiła twoja mama, babcia i ty byłaś chwalona za to jako dziecko. Wstawaj rano w sobotę i do roboty. A dlaczego nie można się wyspać dłużej?

Od pokoleń stawia się pracę na pierwszym planie?

– Podobno 80 proc. naszego społeczeństwa ma chłopskie korzenie. Wiadomo, jak było ciężko na wsi – ciągła praca i brak innych możliwości. Myślę, że przekazy zostały, ale rzeczywistość zmieniła się diametralnie. Każdy powinien się zastanowić nad tym, co dla niego w danym momencie będzie najbardziej resetujące, „odpoczywające". To jest bardzo ważne i niewiele osób tak potrafi. Zwykle idą z jakimiś trendami. Rodzice ich nie uczyli, bo rodziców nie uczyli dziadkowie. I nawet jak ludzie jeżdżą na wakacje, to nie umieją ze sobą rozmawiać.
– Co chcesz w tym roku? Gdzie chciałbyś pojechać? Na co masz ochotę? Takie pytania można zadać sobie. A potem pogadać z mężem czy żoną, z dziećmi, o ile są na tyle duże, że mogą być decyzyjne. I wtedy znaleźć jakiś konsensus, żebyśmy się wszyscy tam dobrze czuli.

Czyli zanim zaczniemy z ukochaną czy ukochanym rozmawiać o urlopie, porozmawiajmy ze sobą.

– Tak, żebyśmy mogli wyjść z jakąś propozycją. Np. miałabym ochotę w tym roku pojechać nad wodę, ale być może pójdę na kompromis i pojadę tam, gdzie ty byś miał ochotę. Tylko to wymaga komunikacji. Wymaga, żeby siąść przed urlopem i po prostu pogadać. A nie między praniem, gotowaniem, a sprzątaniem rzucić coś od niechcenia. Dobre odpoczywanie to powinna być sztuka.

Więcej przeczytasz w serwisie www.mamdziecko.pl.

PODNIEBNE DZIEWCZĘTA, CZYLI O ŻYCIU STEWARDESS W CZASACH PRL-U

Dominika Dziubińska

Stewardessy miały możliwość podróżowania, a ten przywilej w PRL-u dostępny był jedynie dla garstki społeczeństwa /archiwalne numery "Skrzydlatej Polski" /materiały prasowe

Epoka, która większości kojarzy się z szarością i niedostatkiem, im wręcz przeciwnie – z dalekimi podróżami, pięknymi ubraniami i kawą Nescą. Jak wyglądało życie stewardess w PRL-u? Czy dziś również zdecydowałyby się na wykonywanie tego zawodu? Na te i inne pytania odpowiedziała Anna Sulińska, autorka książki „Wniebowzięte. O stewardessach w PRL-u".

Dominika Dziubińska: Zawód stewardessy zawsze budził zainteresowanie. Jak pani myśli, co ludzi w nim fascynuje?

Anna Sulińska: – Nie wiem jak jest teraz, bo mam wrażenie, że ten zawód stracił na prestiżu, ale kilkadziesiąt lat temu przede wszystkim fascynowało to, że stewardessy miały możliwość wyjazdu i zobaczenia tego, co było niedostępne dla zwykłych ludzi. Dla Polaków możliwość wyjazdu na Zachód była czymś nadzwyczajnym, stewardessy miały to na co dzień. Poza tym miały również możliwość przywiezienia towarów, których w Polsce nie dało się wtedy zdobyć. Począwszy od prozaicznych rzeczy jak kawa, herbata czy podpaski po kolorowe ubrania, jeansy i lakiery do paznokci. W ten sposób dziewczyny były ze społeczeństwa wyróżnione. Poza tym, to był zawód o tyle elitarny, że stewardess była jedynie garstka. W latach 60. to było ok. 20 kobiet.

Kiedy pytałam rodziców i dziadków, z czym im się kojarzą stewardessy LOT-u z dawnych lat, wszyscy odpowiadali jednogłośnie: elegancja i piękne ubrania. Co najchętniej przywoziły podniebne dziewczęta ze swoich wojaży?

– To, co przywoziły, zależało od tego, gdzie leciały. Na przykład z Kairu przywoziło się buty i skóry, z Londynu kosmetyki Max Factor i kawę Nescę, ze Stanów tiul. Ciekawym miejscem był Frankfurt. Mimo, że miały

tam jedynie krótkie międzylądowanie trwające około godziny, zawsze starały się zdążyć do apteki, ponieważ stamtąd przywoziło się leki. W hali odlotów polskiego lotniska zawsze czekali na nie często zupełnie obcy ludzie, którzy wręczali im recepty lub kartki z odręcznie wypisanymi nazwami leków. Stewardessy, gdy doleciały do celu w czasie tej jednej wolnej godziny, biegły do apteki i czasem dokładając do nich z własnych pieniędzy.

– Te piękne kolorowe ubrania, o których pani wspomniała również były ważne. Jedna z pań opowiadała mi, że jej sąsiadką była stewardessa, a ona od najmłodszych lat zazdrościła jej strojów. Zawsze marzyła, aby też tak elegancko i kolorowo wyglądać, dlatego kilkanaście lat później sama została podniebną dziewczyną.

W książce wspomina pani, że zarobki stewardess nie były wysokie. Mimo to w PRL-u żyło im się lepiej niż przeciętnemu obywatelowi?

– Żyło im się zdecydowanie lepiej. Oprócz tego, że miały pensję na średnim poziomie, dostawały też diety. Wszystko zależało jednak od tego, czy latało się w Polsce czy za granicą. Wylot zagraniczny każdorazowo wiązał się z dodatkowymi pieniędzmi – dietą za każdy dzień pobytu poza krajem. Loty po Polsce były mniej prestiżowe, nie dostawało się diety, nie można było niczego kupić, na tych trasach latały najczęściej dziewczyny, które dopiero zaczynały pracę.

– Stewardessy początkowo myślały, że diety będą odkładać, ale bardzo szybko okazało się, że to się nie opłaca. Opłacało się za to kupować za granicą. Zdarzało się, że z jednego lotu przywoziły produkty, których wartość rynkowa przekraczała ich miesięczną pensję. Były panie, które mówiły, że po pensje w ogóle się nie fatygowały. Zdarzało się, więc że ktoś przez kilka miesięcy nie odbierał wypłaty.

– Jedna z moich rozmówczyń powiedziała, że w ciągu roku udało jej się uzbierać wystarczająco dużo pieniędzy, aby móc kupić sobie nowy samochód. Dla wielu Polaków był on niedostępnym obiektem pożądania.

A to „lepsze życie" nie budziło zazdrości wśród mieszkańców komunistycznego kraju?

– Oczywiście, że budziło i automatycznie generowało plotki. Zazdrość była na tyle silna, że stewardessy często nie przyznawały się, skąd mają pożądane przez wszystkich produkty. Jedna z pań przyznała, że raz z zagranicznego lotu przywiozła sobie banany, czyli towar, którego w Polsce w ogóle nie było. Niosła je w przezroczystej reklamówce, było zimno, więc miała płaszcz i nie było spod niego widać munduru. Drugą stroną ulicy szła kobieta z dzieckiem w wózku, na widok bananów porzuciła wózek i podbiegła do stewardessy z pytaniem skąd ma banany. Dziewczyna nie przyznała się, gdzie pracuje i że kupiła owoce za granicą. Powiedziała, że je dostała, ale nie może powiedzieć skąd i podzieliła się z tą kobietą. Podobno obdarowana miała minę wartą zobaczenia! Musiała wziąć stewardessę za kompletną wariatkę. Bo kto przy zdrowych zmysłach oddaje obcemu tak rzadkie owoce?

Dziewczyny, aby móc zostać stewardessami, musiały mieć bardzo wysokie kwalifikacje, znać przynajmniej dwa języki obce. Czy często zdarzało się, że dziewczęta z tzw. „dobrych domów" prosiły o protekcję i pomoc w uzyskaniu wymarzonej posady?

– Jeśli protekcja się pojawiała, to najczęściej dotyczyła córek lub przyjaciół osób, które należały do partii. Rozmawiałam z szefową stewardess, która brała udział w rekrutacji i przyznała, że owszem zdarzały się takie prośby, a wręcz czasami naciski na to, żeby konkretną dziewczynę przyjąć. Aczkolwiek jeśli taka osoba nie miała wymaganych

kwalifikacji i komisja rekrutacyjna widziała, że kompletnie się do tego nie nadaje, to mimo protekcji i poparcia ze strony partii, stewardessą nie zostawała – tak przynajmniej mi o tym opowiadano. Dziewczyny wiedziały, że na pokładzie mogą liczyć tylko na siebie, więc przyjmując do swego grona osobę niewykwalifikowaną skazywały się na to, że będą musiały wykonywać pracę za nią i podział obowiązków będzie nierówny.

Dlaczego stewardessy tak niechętnie mówią o sobie i swoim życiu?

– Wydaje mi się, że z kilku względów. Po pierwsze było to naprawdę małe i hermetyczne środowisko. One żyły trochę w swoim świecie, takiej sztucznej bańce w czasach PRL-u. Część z nich miała poczucie, że rozmawiając ze mną zdradzą jakieś tajemnice. Powiedzą coś, o czym dotychczas nikt poza ich grupą nie miał pojęcia.

– Część pań uważała również, że nie ma nic ciekawego do powiedzenia, ich praca była zwyczajna, a one tyko wykonywały swoje obowiązki. Moim zdaniem, to był taki wykręt. Dyplomatyczne uchylenie się od rozmowy, ponieważ wszystkie doskonale zdawały sobie sprawę z tego, że ich zawód był bardzo prestiżowy.

– Panie bały się również tego, że zostaną źle odebrane przez inne koleżanki, ponieważ często w tych rozmowach wracałyśmy do wydarzeń nawet sprzed 50 lat. Pamięć ludzka jest zawodna i każdy wspomina te czasy nieco inaczej. Niektóre dziewczyny należały do partii, inne nie. Poza tym, jak w każdym miejscu pracy były grupy, które lubiły się bardziej i takie lubiące się mniej. Część z pań twierdziła, że ta praca miała bardzo dużo cieni, one zapomniały o złych wydarzeniach i nie chcą wyciągać trupów, które dawno temu zamknęły w szafie.

Byłe stewardessy po tylu latach utrzymują jeszcze ze sobą kontakt?

– Bardzo różnie. Jedna z pań po rozmowie ze mną zdecydowała, że zadzwoni do swoich koleżanek i zorganizuje spotkanie. Najczęściej utrzymują kontakt w mniejszych dwu-, trzyosobowych grupach. Część z pań należy także do Warszawskiego Klubu Seniorów Lotnictwa i tam mają okazję spotkać się w większym gronie z całą załogą: pilotami, mechanikami, nawigatorami.

Stewardessy były „łakomym kąskiem" dla przemykających na pokład agentów Służby Bezpieczeństwa. Jakimi informacjami mogły im służyć?

– One przede wszystkim wyjeżdżały, więc teoretycznie mogły przekazywać informacje na temat sytuacji w Polsce obcym władzom i służbom wywiadowczym. Mogły również wywozić tajne dokumenty albo broszury drukowane przez „podziemie". Swego czasu istniał też problem „szmuglowania" dokumentów solidarnościowych. W latach 40. stewardessy pomagały również odnaleźć się rodzinom rozdzielonym w czasie wojny. Woziły listy tych, którzy pozostawali zagranicą do Czerwonego Krzyża.

– Jedna z pań opowiadała mi, że kiedy uciekła z kraju i postanowiła zamieszkać za granicą, kontaktował się z nią wywiad tego kraju w celu pozyskania informacji na temat tego, co dzieje się w Polsce. Przez to, że wykonywały tak prestiżowy zawód, były blisko władzy, często latały z osobami, które zajmowały wysokie stanowiska w państwie.

Wielu obywateli w czasach Polski Ludowej starało się za wszelką cenę uciec z kraju. Stewardessom z uwagi na posiadany paszport było łatwiej. Często decydowały się na taki krok?

– Z jednej strony było im łatwiej, ale z drugiej miały świadomość, że jeśli uciekną, to w Polsce zostaje ich rodzina, która będzie musiała ponosić

konsekwencje tej ucieczki. Jeśli decydowały się na ten krok, to najczęściej już w latach 80. Panie, z którymi rozmawiałam wielokrotnie powtarzały mi, że wtedy w Polsce nikt nie wierzył, że sytuacja polityczna kiedykolwiek ulegnie zmianie. Ucieczka wydawała się jedynym sposobem na zapewnienie dzieciom lepszego jutra. Znam z pierwszej ręki dwie takie historie, w których stewardessy zdecydowały się uciekać, ale żadna z nich nie powiedziała o swoich planach rodzinie. Nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że widzi córkę, siostrę po raz ostatni, a dziewczyn nie opuszczała myśl, że być może już nigdy nie zobaczą swojej rodziny. To były bardzo trudne decyzje.

Zawsze interesowało mnie też to, jak stewardessom udawało się łączyć życie rodzinne z zawodowym. To przecież bardzo wymagająca praca...

– One, jak na tamte czasy, bardzo późno zakładały rodziny. Chyba można wyróżnić tutaj dwie grupy. Panie, które po zajściu w ciążę i urodzeniu dziecka już na pokład nie wracały i takie, które decydowały się na powrót. W tym drugim przypadku nieocenioną pomocą okazywały się być mamy i teściowe, które nie tylko pomagały w wychowywaniu dzieci, ale również zajmowały się dorosłymi już stewardessami – prały im ubrania, przygotowywały posiłki. Krótko mówiąc robiły wszystko, aby dziewczyna mogła nadal latać.

– Często zdarzało się tak, że stewardessy ukrywały ciążę tak długo jak się dało, ponieważ wiedziały, że jeśli sprawa się wyda, stracą możliwość latania, a wraz z nim możliwości zarobku, na kilka lat, a przecież chciały zapewnić swoim dzieciom jak najlepszy start.

Załogi samolotów spędzały ze sobą mnóstwo czasu. Zdarzały się w tych kręgach jakieś romanse?

– Pewnie, że były! Tak jak zdarzają się i teraz podczas wyjazdów integracyjnych. Elementem, który sprzyjał zbliżeniu i romansom, była wspólnota doświadczeń. Ci ludzie przeżywali to samo, a kiedy wracali do domów ich rodzinom trudno był zrozumieć ich uczucia. Kiedy stewardessy wracały z podróży i opowiadały, co się wydarzyło, to było traktowane trochę jako opowieści o żelaznym wilku. O emocjach, adrenalinie i zmęczeniu łatwiej było porozmawiać z kimś, kto czuł podobnie.

– Jedna z pań opowiadała mi, że wchodząc na pokład każdy z nich stawał się trochę innym człowiekiem i zupełnie zmieniał postrzeganie rzeczywistości.

Te przelotne związki przeradzały się z czasem w coś poważniejszego?

– Oczywiście! Rozmawiałam nawet z jedną taką parą. Są szczęśliwym małżeństwem od ponad 40 lat. Poznali się właśnie w Locie, on był kapitanem, ona stewardessą. Patrzyłam na nich z prawdziwym rozrzewnieniem, bo gołym okiem widać było, że wciąż darzą się ogromną miłością.

W latach 80. polskie lotnictwo doświadczyło serii awarii. Dziewczyny odchodziły, nie chciały latać, bały się. Kiedy ta czarna karta się odwróciła i znów poczuły się bezpieczne?

– Bały się chyba najbardziej po dwóch katastrofach Iłów-62 i w momencie kiedy one zniknęły z pola widzenia, a LOT kupił boeingi rzeczywiście poczuły się o wiele bezpieczniej. Zarówno stewardessy, jak i piloci doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że w przypadku tych katastrof głównym winowajcą był sprzęt. Załoga nie zawiniła. Trudno było wchodzić do samolotu ze świadomością, że nie lecisz sprzętem

najwyższej jakości, tylko radzieckim iłem, w którym zastosowano przestarzałe technologie. To było ogromne obciążenie psychiczne.

Oprócz częstych awarii stewardessy musiały się mierzyć także z porwaniami. Miały szansę uczestniczyć w specjalnych szkoleniach, które uczyły jak reagować w takich sytuacjach?

– Panie opowiadały mi, że porwania w tamtych czasach były na tyle częste, że spokojnie możemy je porównywać z obecnym zagrożeniem terrorystycznym. Byłam też zaskoczona, kiedy okazało się, że 1/3 wszystkich moich rozmówczyń rzeczywiście doświadczyła jakiegoś porwania. Ktoś albo próbował uprowadzić samolot już na płycie lotniska przed odlotem albo terroryzował pilotów w czasie lotu.

– W Instytucie Pamięci Narodowej trafiłam na notatkę dotyczącą szkoleń organizowanych w Stanach Zjednoczonych, w których miała szansę uczestniczyć niewielka grupa stewardess. Dziewczyny poleciały do Kansas City, ówczesnej siedziby linii lotniczych TWA (Trans World Airlines) i tam uczestniczyły w szkoleniach z zakresu bezpieczeństwa i reagowania na pokładzie. Czytając tę notatkę miałam jednak wrażenie, że wytyczne ze szkolenia były dość naiwne i zlokalizowanie na ich podstawie porywacza na pokładzie graniczyło z cudem. Porywaczem według nich mógł być tak naprawdę każdy pasażer.

– To, co wydaje mi się niebywale trudne, to to, że stewardessy musiały się takim porywaczem na pokładzie zająć, na przykład powinny z nim rozmawiać, zaproponować mu coś do picia, czyli zyskiwać na czasie i odwracać jego uwagę. Z drugiej strony musiały też zachować kamienną twarz i starać się, aby inni pasażerowie nie dowiedzieli się, że dzieje się coś złego. Ostatecznie nie wiadomo było przecież dokąd samolot tak naprawdę poleci i jak to porwanie się skończy.

Stewardessie w czasach PRL-u było można na pokładzie więcej niż obecnie?

– Moje rozmówczynie przyznają, że wtedy relacja stewardessa – pasażer była zupełnie inna. Pasażerowie np. przychodzili do nich do kuchni, teraz taką sytuację trudno sobie nawet wyobrazić. Kokpity również były otwarte, więc stewardessy przemieszczały się całkowicie swobodnie po całym pokładzie samolotu.

– Jedna z pań opowiadała mi, że jeśli chciała np. jechać z Warszawy do Gdańska to zaprzyjaźniony pilot mówił: „Słuchaj mam za chwilę lot, chodź polecisz ze mną w kokpicie". Z całą pewnością mogły sobie więc pozwolić na zdecydowanie więcej.

Podczas pracy nad książką zaglądała pani również do LOT-owskiego muzeum. Eksponaty zamiast cieszyć oczy zwiedzających, niszczeją zamknięte w skrzyniach. Dlaczego?*

– O to już trzeba pytać LOT. Kilka miesięcy temu dzwoniłam do LOT-u, żeby dopytać o losy muzeum i wiem, że zostało zamknięte. Mnie udało się jeszcze uchwycić ten moment, kiedy rzeczy były w gablotach, natomiast później wszystko zostało spakowane do pudeł. Na forach zrzeszających pasjonatów lotnictwa toczyły się gorące dyskusje na temat tego, że muzeum powinno działać. Z tego, co wiem, zostało jednak zamknięte i myślę, że warto zapytać LOT, jakie będą jego dalsze losy.

A co na to byłe stewardessy?

– One bardzo żałują, że muzeum nie działa. A kiedy pytałam o ich pamiątki, to widać było, że autentycznie cieszą się, że mogą je komuś pokazać, wrócić do lat młodości i że te rzeczy nie niszczeją. Niektóre z nich mówiły, że przez lata nie wiedziały, co zrobić ze swoimi starymi mundurami i kilka lat temu po prostu je wyrzuciły, bo uznały, że już

nikomu się nie przydadzą, a tylko zajmują im miejsce w szafie. Większość z pań, które były prekursorkami tego zawodu w Polsce już nie żyje i trudno ustalić, co stało się z pamiątkami po nich.

W kobietach, z którymi pani rozmawiała widać było jakieś podobieństwa, taki pierwiastek LOT-owskiej stewardessy?

– Oczywiście. Przede wszystkim uroda, zorganizowanie, perfekcja w ruchach i sposobie mówienia. Czasami miałam wrażenie, że ze spotkań z nimi wychodzę bardziej wyprostowana, staram się ładniej wysławiać. Dało się w nich również zauważyć opanowanie i wewnętrzny spokój. Widać było, że panie do wszystkiego starają się podchodzić z uśmiechem i jeśli już zgadzają się na rozmowę, są życzliwe.

A gdyby stewardessy, z którymi pani rozmawiała miały zostać nimi ponownie i znowu wejść na pokład, zrobiłyby to?

– Ja pytałam raczej o to, jak one teraz oceniają pracę stewardess i wtedy odpowiadały mi, że to już kompletnie co innego. Kiedy one pracowały w zawodzie, to pasażer był w centrum. Procedury były ważne, ale koniec końców bardziej liczyło się to, jak czują się ludzie na pokładzie. Teraz – ich zdaniem – jest na odwrót. Żadna z nich na pewno nie żałuje, że kiedyś latała, ale w dzisiejszych realiach już chyba nie do końca chciałyby wykonywać ten zawód.

Więcej przeczytasz w serwisie www.kobieta.interia.pl.

---

* O dalsze losy muzeum zapytaliśmy przedstawicieli LOT-u. Otrzymaliśmy odpowiedź, że Polskie Linie Lotnicze mają zamiar ponownie uruchomić je w przyszłości. Kiedy, to się stanie i dlaczego zostało zamknięte – nie wiadomo.

Z CZEGO TA BABA SIĘ TAK CIESZY?
A Z ŻYCIA, CHOLERA!

Gabriela Kurcz

DJ Wika – gra, udziela się społecznie i walczy o godne życie seniorów w Polsce /materiały prasowe

Jest drobna i niezwykle kobieca. Czarny kolor tylko pogłębia to wrażenie, a DJ Wika lubi nosić się na czarno. Czerwone usta i jasne

włosy, błysk w oku i spory zapas energii. Skąd ta moc?

Gabriela Kurcz: Muszę, po prostu muszę zacząć od tego koncertu. Sierpień 2015, Gdańsk, Targ Węglowy. Trafiam tam przypadkiem i nieprzypadkowo zostaję na cały koncert.

DJ Wika: – Była tam pani? Pod sceną prawda? To ja panią pamiętam!

Ja pamiętam tę wyjątkową atmosferę, która udzieliła się wszystkim, niezależnie od wieku, płci i sprawności.

– To jest cudowna impreza, głównie dla osób upośledzonych, tych pokonanych przez życie, ale nie pokonanych przez siebie. Dostałam wtedy symboliczny klucz do Gdańska, więc znowu się tam może zobaczymy.

Przybywa tych odznaczeń…

– Już 20 lat pracuję z seniorami, zostałam „Człowiekiem, który czyni dobro", dostałam dyplom i odkurzacz. Kocham ludzi, więc czuję się trochę misjonarzem dobra, kocham zwierzęta, wspieram schroniska. Mam ogromną potrzebę czynienia dobra – młodym, starym, zwierzakom, młodzieży upośledzonej i niepełnosprawnej. Choroby to przecież nie kara boska, to tylko smutne przypadki. W mojej naturze leży edukacja i chcę o tym mówić.

To bardzo ciekawy wątek w pani biografii – praca z tzw. trudną młodzieżą, w ośrodku dla chłopców.

– Przeżyłam już 77 lat, nie jestem teoretykiem, ale praktykiem. Nigdy nie zgadzałam się z tym, że skoro jestem pedagogiem, nie mogę np. nadużywać słownictwa. Ja w ośrodku zwrotu „k.... mać" używałam na co dzień!

Bo chyba pani musiała?

– Inaczej nie mogłam się porozumieć z chłopakami, musiałam mówić ich językiem, wejść w ich skórę oraz środowisko, nie bluzgać bez sensu, ale nieraz musiałam użyć wulgaryzmów. Tylko tak można dotrzeć do człowieka.

DJ Wika to muzyk, „Jest moc" powinna być więc książką o muzyce, ale z każdą kolejną kartką utwierdzałam się w przekonaniu, że to nie muzyka jest głównym bohaterem tej książki. Jest nim człowiek!

– Bałam się tej książki, tak jak teraz z trudem, choć i wielką pokorą znoszę jej upublicznienie. Tak, ta książka jest o człowieku. Ja nie jestem muzykiem, muzyka jest moją pasją, może teraz mogłabym napisać coś więcej, chociażby o tym jak niektóre gatunki działają na człowieka. Ja tą muzyką łączę pokolenia, zacieram różnice między jednymi, a drugimi, ale nigdy nie wypowiadam się na tematy, na których się nie znam, a na muzyce się nie znam.
– Człowiek może mówić o tym, na czym się zna. To jest książka o tym, jaka jestem, o moim sposobie patrzenia na życie, mojej tolerancji oraz umiłowaniu człowieka, życia, przyrody. Człowiek jest dla mnie wartością samą w sobie nie ze względu na jego przekonania, orientację. Ważne jest to, co on robi dla innych, a czy on jest czarny, żółty czy gej, to mnie nie interesuje!

Z dużym zaskoczeniem przeczytałam o tym, że często nie interesuje to również seniorów! Gdy zaprosiła pani do nich przedstawicieli Kościoła, ale również różnych partii politycznych, homoseksualistów, działaczy, ta konserwatywna zazwyczaj grupa społeczna okazała się niezwykle otwarta!

– Gdy do Klubu Seniora zaproszeni zostali zarówno ludzie z Radia Maryja, jak i z PO, ludzie różnych wyznań i orientacji, okazało się, że ci nasi seniorzy są wyjątkowo otwarci. Zresztą czy wśród seniorów nie ma osób innej orientacji? Oczywiście, że są!

– Wie pani, gdyby to była choroba, to już dawno wynaleziono by na nią lek. Seniorzy z założenia są konserwatywni i tak się kojarzą, ale oni potrafią się otworzyć! Oczywiście, Kluby Seniora współpracują z Kościołem. Często kościoły mają np. przewodników, z których wiedzy korzystamy. Jeśli ktoś jest związany z Kościołem, to proszę bardzo, niech mu Bóg daje zdrowie i łaski!

Wróćmy do muzyki. Jak to się wszystko zaczęło? Skąd wzięła się DJ Wika?

– Nie robiłam nic, żeby się pchać, nie miałam parcia na szkło, na radio. Przez wiele lat prowadziłam kabarety, pisałam scenariusze, byłam pełnym zaangażowania pracownikiem. Zakładałam filie domu kultury z przedszkolami, miejscami dla młodzieży. Z biegiem czasu przeszłam do fundacji, tam założyłam salon literacki, pracowałam z literatami warszawskimi. Żuchowski akompaniował, salon cieszył się popularnością, to było naprawdę piękne miejsce! Niestety, gdy podnieśli czynsz, nie było już za co płacić, a ja jestem do roboty, nie do robienia pieniędzy. Nikt nie mógł nas wtedy wesprzeć. Zresztą, komu dziś jest potrzebna poezja?

– Fundacja mieściła się w pubie, zaproponowano więc, bym w tym pubie została. Ja już prowadząc dom seniorów zaczęłam dla nich grać. Muzyka, zabawa – to jednoczy ludzi. Zamawiając DJ-a musiałam za niego zapłacić. Mogłam sobie na niego pozwolić raz na pół roku, bo pieniędzy na to nie było. Pewnego dnia usłyszałam: „Pani Wika, jak pani chce, żeby seniorzy

sobie tańczyli i skakali, to niech pani sama gra". No to dobrze! Możemy grać.

– Kupiłam płyty, gramofon, odtwarzacze... Tyle rzeczy robię, dlaczego mam się nie nauczyć grać? Tak zaczęła się moja przygoda! Stopniowo zaczęli przychodzić dziennikarze, popatrzeć, jak starsza pani za konsoletą gra. Seniorzy tańczą, podłogi śmigają, dla młodych to był szok! Pojawili się dziennikarze z Anglii, Stanów, zaczęli mówić, że Polska nie jest już klęcząca, ale tańcząca! Grałam w Berlinie, Budapeszcie – czy to nie jest ciekawe życie w tym wieku? Lat 20 rozumiem, ale ja teraz mam 77!

Cel został osiągnięty?

– Z Hongkongu przyjechała cała ekipa, specjalnie do mnie, żeby zrobić ze mną wywiad. Powiedzieli, że w Polsce są tylko dwie rzeczy godne zobaczenia: Kraków i pani Wika. Chwilę później Piotr Małecki zrobił o mnie film.

Teraz zrobi się jeszcze głośniej!

– Już się bardzo dużo dzieje, ja muszę też trochę ochłonąć. Wie pani, bardzo boję się jednego, takiego przedawkowania. Ludzie tę moją popularność wiążą z kokosami, biznesami, a ta książka pokazuje przecież, że nie leżałam na brzuchu, że zarobiłam na to, co mam, na swoją emeryturę. Uchyliłam rąbka tajemnicy. To nie było lekkie życie, a na to, co dziś mam, pracowałam ciężko. Ludzie patrzą i pytają sami siebie, z czego ta baba się tak cieszy – a z życia, cholera!

A to nie jest tak, że DJ Wika pojawiła się nagle, nie wiadomo jak i skąd, a ludzie pomyśleli – kolejny produkt popkultury, nie było DJ-ki emerytki, to nam ją dali?

– Na to, że gram, że jestem dziś tu, gdzie jestem, złożyło się całe moje życie. Po przejściu na emeryturę pomyślałam, że chciałabym być jeszcze aktywna, że chciałabym jeszcze coś zrobić dla ludzi, dla mojego pokolenia. Ja jestem przedstawicielką grupy seniorów, tą, której udało się przedrzeć, tyle!

– To moje granie to taki protest. Nam, osobom starszym, wyznaczono role – masz emeryturę, to teraz idź robić pierogi dzieciom, z różańcem i książeczką do kościoła albo na cmentarz, więcej nie wypada. Ja uważam, że wypada wszystko! Ja niestety nie umiem szyć, nie umiem haftować, nie znoszę lepić pierogów. To co mi zostało?

Mówią, że starość w Polsce śmierdzi moczem i cebulą... Trudno przekonać młodych, że jest w niej coś atrakcyjnego.

– Nie godzę się ze starością w Polsce, my tu tę starość poniewieramy. Starość może jedynie przygarnąć Kościół, nie ma nic dla starości, nawet jak są ludzie, którzy coś robią, nikt się tym nie interesuje.

– Wie pani, są przeglądy amatorskiej twórczości seniorów – oni pięknie malują, rysują, piszą. Ale kto to będzie oglądał? Więc nie ma radia, telewizji.. a ja jestem w tej grupie i mnie trafia szlag! My się nie liczymy, a jest nas 10 milionów! Dlaczego? Bo lepiej inspirować się botoksem! Bo dziś wszystkie musimy być wypchane, wymalowane i chude, to jest idiotyzm!

Mimo wszystko lubi pani młodość.

– Kocham! Moje pokoleniowe zabawy cieszą się popularnością, jestem zapraszana do klubów, gram ich coraz więcej. Jest chętny młody DJ? Super, to ja z nim zagram! On za dekami 10 godzin i ja tyle samo. On całą noc i ja całą noc na nogach, a przecież też jestem chora, przeszłam dwie operacje, ale mnie się chce! Na tych potańcówkach jesteśmy wszyscy

razem, to jest piękny obrazek! To wizerunek tej różnorodności. Tu młodzi napędzają starszych, a starzy z uśmiechem patrzą na młodych.

10 godzin na nogach? Nie ma taryfy ulgowej!

– Gramy razem, ręka w rękę, wracam o 5. czy 6. rano do domu i jeszcze koty karmię, do piwnicy wchodzę nocą, bo na mnie czekają. Muszę mieć więc dla nich puszki, choć sąsiadki mówią czasem, że jestem nienormalna. Ja tam mogę sobie żyć z tą swoją nienormalnością, kocham koty, a jak coś kocham, to z tego nie rezygnuję!

W temacie kochania... Piękną miała pani miłość, tę drugą, prawdziwą, która czaiła się tuż za rogiem, w sąsiedztwie.

– Miałam wielką miłość, druga mi się nie zdarzy, na szczęście może. Nie chcę psuć jej smaku, dziś już bałabym się odrzucenia, braku akceptacji, tego, że się już nie przyzwyczaję oraz utraty wolności przede wszystkim. Wolność jest najważniejsza. Ale można zaszaleć! Znam panią, która w wieku 82 lat wzięła ślub z panem młodszym o 12 lat! To się zdarza od czasu do czasu, bo na miłość nie jest za późno, nigdy.
– Ładną ma pani tę kurteczkę.

Dziękuję ;) wyglądamy dziś całkiem podobnie! To nie jest tak, że zaraża pani swoje seniorki tą potrzebą dobrego wyglądu, świetnej fryzury i czerwonej szminki, niezależnie od wieku?

– Bardzo dużo osób tym zarażam! Moje seniorki mówią wtedy: „O, kupiłam sobie takie same spodnie, taką samą bluzkę!”... Bo wie pani, taka jest ta nasza starość biedna i niedomyta. Często ci ludzie nie mają wody, nawyku nawet mycia, to są ludzie schorowani. Mnie też wszystko boli, jestem po wielu operacjach, ale bez umytej głowy nawet do Biedronki nie wyjdę!

– A seniorki modelki? To dopiero rewelacja! Był taki pokaz mody we Wrocławiu, seniorki prezentowały się ubrane w piękne kreacje, umalowane – nie te kobiety, naprawdę! Takiej kreacji z pokazu na co dzień nie założy, ale włosy może przecież umyć...

Jest pani ambasadorką Parady Seniorów; ta ostatnia odbiła się w całym kraju szerokim echem. Będą kolejne?

– Będą kolejne parady! W tym roku spotykamy się 25 czerwca, to ostatnia sobota miesiąca. Mamy nadzieję, że nowy rząd z szacunku dla starości pozwoli na tę paradę! Ona jednoczy wszystkich, w niej idą wszyscy. Idą seniorzy, niezależnie od przekonań religijnych, politycznych oraz seksualnych, wiek i szacunek do życia łączy. Wie pani, życie to największa wartość. Ja kocham życie na ziemi, co tam będzie dalej, nie wiem, wolę mieć ten raj tutaj! Ale jeśli stanę tam kiedyś po prawej stronie, to będę tam karmiła koty, wszystkie moje bezdomne koty!
– Ma pani narzeczonego?

Ktoś się pojawił…

DJ Wika: – Nie ufa się mężczyznom, którzy nie kochają zwierząt. Taki test, niech mu pani zrobi...

Więcej przeczytasz w serwisie www.kobieta.interia.pl.

POLSKA, JAKIEJ NIE ZNACIE. ZDJĘCIA 22-LATKA PODBIJAJĄ INTERNET

Justyna Mastalerz

Katowice o wschodzie słońca, fot. Wojciech Radwański

Pokazuje Polskę z zupełnie innej perspektywy. Jego zdjęcia z lotu ptaka błyskawicznie zrobiły furorę w mediach społecznościowych. Najbliższe jego sercu są Katowice. Przedstawiamy historię chłopaka, który odczarował wizerunek brudnego i szarego Śląska.

Wojciech Radwański z Piekar Śląskich w mediach społecznościowych znany jest jako Ra2nski. Młody fotograf, który nie tylko zbiera coraz więcej „lajków" i zyskuje popularność, ale przede wszystkim pokazuje Polskę. Piękną, magiczną, nowoczesną, kolorową. Zaczął od zdjęć Katowic, które od razu zyskały w sieci opinię jednych z najpiękniejszych fotografii zmieniającego się Śląska. Czytelnikom Interii zdradza szczegóły swojej pracy. Opowiada o uroku polskich miast, nieudanym wynajęciu śmigłowca i pomocy przyjaciół w „zadaniach specjalnych".

Dziadek był fotoreporterem

Wojtek ma 22 lata. Studiuje inżynierię środowiska na Politechnice Śląskiej w Gliwicach, ale to fotografii poświęca najwięcej czasu.

– Wszystko to za sprawą dziadka, który był fotoreporterem. Pierwszy aparat, analogową lustrzankę, otrzymałem właśnie po dziadku. Rozpoczynając naukę w liceum byłem już szczęśliwym posiadaczem lustrzanki cyfrowej, z którą praktycznie się nie rozstawałem – wspomina.

Śmigłowiec do zadań specjalnych

Fotografie Wojtka to wizualny spacer po przestrzeni polskich miast. Po instytucjach, budynkach i ulicach, które codziennie mijamy i nie zwracamy na nie szczególnej uwagi. On pokazuje je inaczej – z perspektywy ptaka.

– Pomysł na zdjęcia z góry miałem już dużo wcześniej, zanim na rynku pojawiły się ogólnodostępne drony. Pamiętam, że kiedyś chciałem wynająć śmigłowiec, żeby wykonać takie zdjęcia. Plany szybko zmieniłem, gdy dostałem wycenę. Potem na długo odpuściłem temat. Z pomocą przyszedł kolega z podwórka, który kupił swojego drona, kiedy było to jeszcze mniej popularne. Pierwsze sesje zawdzięczam jego uprzejmości i przede wszystkim cierpliwości. Niedawno kupiłem własnego drona i dzięki temu zdjęcia mogę robić nie tylko na Śląsku, ale i w trakcie podróży po kraju – opowiada fotograf.

Aby uzyskać wymarzony efekt, Wojtek przeglądy mapy Google, szuka ciekawych kształtów, obiektów i miejsc, z których może wystartować. Z tą wiedzą wzbija się w powietrze.

Nowe oblicze Śląska

Fotografuje nie tylko ważne obiekty śląskiej architektury takie jak Muzeum Śląskie czy NOSPR, ale pokazuje też szare blokowiska. W obiektywie Wojtka nowe oblicze zyskały słynne katowickie „Kukurydze” na Tauzenie, „Gwiazdy” z Osiedla Walentego Roździeńskiego czy Superjednostka.

– Mieszkańcom chcę pokazać Śląsk z perspektywy im nieznanej, a ludziom spoza regionu, że my naprawdę nie jemy węgla, nie mieszkamy w kopalniach, a powietrze jest u nas całkiem przeźroczyste. Tu się urodziłem, tu mieszkam i tu studiuję. Czuję się bardzo związany z tym miejscem – mówi Wojtek Radwański.

Niedawno publikował też w sieci krajobrazy mazurskich jezior i lasów. Jak mówi „Polska jest piękna, a z góry widać to jeszcze lepiej”. Przyznaje,

że jest w nim pewna sprzeczność, bo tak, jak architektura, fascynuje go też fotografia dzikiej przyrody.

– Na co dzień obserwuję, jakie zmiany zachodzą w miastach i jak kolejne nieużytki zamieniają się w wielkie inwestycje. Równie chętnie wyjeżdżam jednak w różne części kraju, gdzie mogę uwiecznić całkowicie inny, niezabudowany krajobraz – mówi fotograf.

Mazury - Zwiniarz, fot. Wojciech Radwański

Co będzie następne?

Wojtek Radwański nie ukrywa, że chciałby spróbować powietrznej fotografii w krajach fiordów i lodowców. – Jako że lubię bardziej chłodne klimaty, to marzy mi się podróż do krajów skandynawskich. Surowy klimat, nowoczesna architektura i niesamowite krajobrazy sprawiają, że jest to mój numer jeden na liście miejsc do odwiedzenia z dronem

i aparatem fotograficznym. Mam nadzieję, że w niedalekiej przyszłości na moim profilu pojawią się zdjęcia z Islandii czy z Norwegii.

Rady architekta

Fotografia architektury nie jest sztuka łatwą. Jeszcze trudniej ze zwykłych kadrów stworzyć baśniowe opowieści o miejscu i jego historii.

– Z pomocą przychodzi mój tata-architekt. Często komentuje moje zdjęcia i dzięki temu staram się poprawiać błędy i pokazywać budynki z coraz lepszej perspektywy. O ile samo fotografowanie z użyciem drona nie jest sprawą skomplikowaną, to bezpieczne latanie nad miastem – blisko budynków i nad ulicami – wymaga odpowiednich umiejętności, wiedzy, pozwoleń i – co najważniejsze – dobrego ubezpieczenia – przyznaje fotograf.

– Aktualnie posiadam czterowirnikowego drona z wbudowaną kamerą, jest to najpopularniejszy model na rynku. Ma sporo zalet, ale i wady. Do nocnych sesji i innych „zadań specjalnych" z pomocą przychodzą znajomi z większym sprzętem, który może unieść profesjonalny aparat fotograficzny – tłumaczy.

Od świtu

Najlepszą porą na fotografowanie jest dla Wojtka świt. Właśnie wtedy może uchwycić magiczne światło wschodzącego słońca. Jak podkreśla, jest to też pora całkowicie bezpieczna – ulice są puste, a ryzyko związane z wykonywaniem lotów bardzo niskie.

– Spokój, puste ulice, a do tego piękne światło bez wątpienia pomagają w tworzeniu moich zdjęć. Bardzo łatwo można poruszać się wtedy po mieście, cisza pozwala skupić się na pilotażu i fotografowaniu, a brak

ludzi na ulicach znacząco obniża ryzyko związane z takimi lotami. Są oczywiście miejsca, które fotografuję o innych porach, ale takie sytuacje są rzadkie – opowiada.

Przygoda Wojtka z lataniem i miastem zdaje się dopiero rozpoczynać, a już zyskał grono miłośników i popularność. Ciągle szuka i rozwija własny, fotograficzny styl.

– Dużo czasu spędzam śledząc profile innych fotografów na Instagramie czy Facebooku. Przeglądam zdjęcia w dużych magazynach i na portalach poświęconych fotografii. Motywuje mnie to do dalszego szukania, rozwijania swojego stylu. Fakt, że próbowałem swoich sił w różnych dziedzinach fotografii, pomaga mi łączyć w zdjęciach architektury to, czego nauczyłem się przy okazji fotografowania innych rzeczy – mówi Wojtek.

– Dużo dają mi też rozmowy z moimi bliskimi odnośnie zdjęć. Są słowa pochwały, ale często dostaję też kubeł zimnej wody na głowę. To bywa bardzo rozwijające – dodaje.

Więcej przeczytasz w serwisie www.fakty.interia.pl.

STWORZYĆ MIEJSCE DO ŻYCIA

Aleksandra Suława

W budowę Ursynowa zaangażowani byli jego mieszkańcy, fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Osiedle Ursynów było jedną z ostatnich wielkich inwestycji urbanistycznych w PRL-u. Zaprojektowane jako modelowe miejsce do życia dla 40 tys. ludzi, szybko stało się symbolem bylejakości i dezorganizacji. O tym idealnym i realnym osiedlu opowiada Lidia Pańków, autorka książki „Bloki w słońcu. Mała Historia Ursynowa Północnego”.

Aleksandra Suława: Z dzieciństwa na Ursynowie zostały ci trzy zdjęcia. A wspomnienia?

Lidia Pańków: – Imieniny albo urodziny, rodzina i goście siedzą przy stole, a moja starsza siostra znika. Wszyscy wpadają w panikę, następuje akcja poszukiwawcza, aż w końcu dziecko odnajduje się na placu budowy. Dzisiaj ta anegdota brzmi jak historia o patologicznej rodzinie, która nie potrafi zaopiekować się dzieckiem, ale wtedy nikogo to nie dziwiło. Po pierwsze mieszkań na Ursynowie nikt nie zamykał, a po drugie całe osiedle było wtedy placem budowy. Poza tym wiele nie pamiętam. Tylko taki ogólny obraz mieszkania: dużego, jasnego, pustego M4, jak na tamte czasy naprawdę dużego – ok. 80 metrów.

Na dzisiejsze również.

– Przy dobrych wiatrach, pod koniec lat 70. rodzina z trójką dzieci mogła liczyć na taki metraż. Oczywiście trzeba było dołożyć wszelkich możliwych starań, żeby pragnienie posiadania mieszkania się ziściło! Czyli czasem po prostu je „wychodzić", pilnować formalności typu książeczka mieszkaniowa, dbać o relacje z urzędnikami, trzymać się instytucji, które mogły proces przyspieszyć. W naszym przypadku sprawę rozwiązało pojawienie się bliźniaczek. A jako rodzina – rodzice z dyplomami, troje dzieci poniżej 4. roku życia i babcia, byliśmy w pewnym sensie modelowymi adresatami ursynowskiej oferty mieszkaniowej.

W materiałach propagandowych Ursynów nazywano „osiedlem młodych".

– I całkiem słusznie, bo co trzeci jego mieszkaniec miał mniej niż 10 lat.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Polityka mieszkaniowa ówczesnych władz miała wielkopłytowymi osiedlami dla setek tysięcy mieszkańców zaspokoić wieloletni deficyt, który uniemożliwiał życiowy rozwój i zwyczajnie ludzi ogromnie frustrował.

– W przypadku Ursynowa Północnego, projektowi i realizacji towarzyszyły wielkie nadzieje, że powstanie coś trwałego i sensownego. Edward Gierek pojawiał się na uroczystości oddania pierwszych bloków, niezależnie od realnego stanu zaawansowania, a architekci musieli opędzać się od reporterów i fotografów. Nie lubili tego, bo interesowała ich dobra robota, a nie aplauz władz.

Zlecenie na budowę osiedla młodych dostają młodzi. 150-tysięczne pasmo, na początek Ursynów Północny – 40–tysięczne osiedle-miasto, i zabiera się za to grupka architektów zaraz po studiach, niemal bez doświadczenia. Brzmi jak szaleństwo.

– Dla nich to brzmiało jak życiowa szansa – mogli stworzyć projekt, który po pierwsze nie trafi do szuflady, ale zostanie zrealizowany, a po drugie będzie miał wpływ na życie dziesiątek tysięcy ludzi.

– Kiedy myślałam o tych młodych architektach i ich wizji, cały czas nurtowało mnie pytanie: skąd oni brali wzorce? Skąd wiedzieli, jak mają budować? My dzisiaj cały czas myślimy w kategoriach powielania, kopiowania, przetwarzania, zanim się do czegokolwiek zabierzemy, robimy ogromny research, a oni owszem, podróżowali i oglądali, liczyli przede wszystkim na własne siły i wykształcenie.

Ale jakieś wzorce i autorytety musieli mieć.

– Byli pokoleniem wychowywanym przez bardzo dobrych, przedwojennych architektów z Politechniki Warszawskiej. Uczyli się od Kazimierza Wejcherta, specjalisty w dziedzinie kompozycji przestrzennej. Powoływali się też na wzorce budownictwa powojennego Józefa Sigalina – odpowiedzialnego za projekt Marszałkowskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, Bohdana Lacherta i Józefa Szanajcy – projektantów Muranowa, Haliny Skibniewskiej, autorki Sadów Żoliborskich i Osiedla Szwoleżerów. Mogli odwołać się do doświadczenia odbudowy Warszawy i dokonań Biura Odbudowy Stolicy, w które zaangażowana była część wymienionych architektów. Nie działali w próżni.

– Architekci Ursynowa wierzyli, że jeśli się racjonalnie podejdzie do sprawy i stworzy listę czynników, które decydują o tym, że coś jest przyzwoitą architekturą, to powinno się udać.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Co znalazło się na tej liście?

– Można na to patrzeć jak na elementarz racjonalnej urbanistyki. Przede wszystkim znalazła się tam wizja uliczki, jako miejsca ożywiającego osiedle. Wzdłuż uliczek, jak w XIX–wiecznym mieście, miały znajdować się sklepy, punkty usługowe, małe warsztaty. Na parterach bloków, w poziomie -0,5 pomyślano o specjalnych lokalach pod kluby mieszkańców. U zbiegu tych uliczek miały powstać place – to ambicja głównego architekta Marka Budzyńskiego – na których można było handlować, albo brać udział w różnych wydarzeniach kulturalnych. Z osiedla wyeliminowano ruch kołowy, samochody miały poruszać się

główną arterią przecinającą osiedla, a mieszkańcy chodzili zanurzonymi w zieleni alejkami. Chodziło o to, by park był wintegrowany w przestrzeń osiedla, a dzieci idąc do szkoły nie przechodziły przez żadną ulicę.

Wtedy wszyscy pamiętali jeszcze szał budowy tysiąclatek...

– Dla ekipy Budzyńskiego tysiąclatki były przykładem tego, czego należy unikać. Oni wymarzyli sobie szkoły idealne – tak w formie, jak i w programie nauczania. W ich wizji szkoła nie miała być ponurym klockiem, ale zgrabnym budynkiem, złożonym z nachodzących na siebie pawilonów. Jej najważniejszą częścią było forum – wewnętrzny plac, na którym miały odbywać się akademie i lekcje sportu. Ruchome ścianki w klasach pozwalałyby dzielić sale na mniejsze przestrzenie i dostosowywać je do pracy w grupach. Założono, że przy ładnej pogodzie, bezpośrednio z klasy, będzie można było wyjść na zewnątrz, do miejsca gdzie dzieci mogłyby hodować rośliny albo brać udział w lekcjach na świeżym powietrzu.

– A po lekcjach szkoły zamieniałyby się w rodzaj domu kultury. Rodzicie mieli przychodzić po dzieci, skorzystać ze stołówek, a potem grać w piłkę albo realizować hobby.

A zepsute sprzęty domowe można by zanieść do specjalnego punktu usługowego, działającego przy szkole zawodowej...

– To był pomysł architektów na odtworzenie tradycji rzemieślniczych. W pobliżu planowanej szkoły zawodowej miały stanąć przeszkolone pawilony, w których uczniowie w ramach praktyk świadczyliby mieszkańcom różne usługi. Brzmi to szalenie ciekawie, ale niestety nigdy nie weszło w fazę realizacji.

A co z mieszkaniami?

– Początkowo miały być „elastyczne”, tak żeby mieszkańcy byli w stanie zmieniać układ ścian, kiedy na przykład w rodzinie pojawiło się kolejne dziecko. A same bloki – niewielkie, najwyżej czteropiętrowe, takie które nie przytłaczały ludzi swoją wysokością.

– Niestety, nie wszystko z tych projektów wyszło. Czteropiętrowe budynki nie zapewniały takiej ilości mieszkań, jaka była przewidziana w planie i trzeba było stawiać również jedenastopiętrowce. Ale nawet one miały nieregularne bryły, dzięki czemu ich kształt nieco ożywał i nie przypominał zwykłego bloku z wielkiej płyty, od których Budzyński i jego ekipa chcieli odejść. Uważali je za parodię architektury, w której nie szanowano idei struktury miasta.

fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe

Od wystawienia pierwszego bloku z wielkiej płyty do wzniesienia pierwszego bloku na Ursynowie minęło ponad 20 lat. Pojawiały się już głosy, że osiedla z wielkiej płyty się nie sprawdziły? Ludzie narzekali, że źle im się żyje?

– W środowisku toczyła się wtedy wielka debata, w ramach której mocno krytykowano urbanistykę nie biorącą pod uwagę czynnika ludzkiego. Realia socrealizmu wykrzywiły piękne wizje Le Corbusiera. Dla przeciętnego mieszkańca, tak jak dla Budzyńskiego i jego architektów, program zerwania z historycznym miastem był zbyt drastyczny. Szukali czegoś pomiędzy.

Pisali o tych osiedlach: „Bloki jak pieczątki w zieleni – tu bloczek, tam bloczek”.

– Uważali za prymitywne, masywne i nieludzkie...

Ursynów był ludzki? Dobrze się tam mieszkało?

– Opinie są mieszane, bo zwykle wiążą się z bardzo indywidualnymi doświadczeniami. Z jednej strony mieszkało się rewelacyjnie, bo ludzie w końcu spełnili swój sen o własnym mieszkaniu, które nie jest klitką i w którym można wyznaczyć miejsce na pokój dla dzieci, gabinet czy – w przypadku twórców – pracownię artystyczną. W realiach ówczesnej Warszawy, gdzie ludzie cierpieli na permanentny głód mieszkaniowy, to był prawdziwy luksus.

– Ale była i druga strona medalu. Mimo obietnic, że na miejscu będą sklepy, szkoły, żłobki, kina i domy kultury i to w zasięgu krótkiego spaceru, to bardzo długo nie było nic. Na zdjęciach z pierwszych lat jest bardzo pusto, błotniście, łyso, nie ma jeszcze tkanki miejskiej. Potem zaczęły się pojawiać pawilony handlowe w postaci kontenerów, wreszcie – wielki market Megasam, wyrzucony poza ramy Ursynowa Północnego, za ruchliwą arterią.

„Jeśli wewnątrz bloków jest tak ładnie jak na zewnątrz, to zdaje się ludzie będą zadowoleni” – mówił Edward Gierek podczas wizyty gospodarskiej na Ursynowie w 1977 roku. Było ładnie?

– To zależy, czy przyszli mieszkańcy zdobyli własnym sumptem materiały wykończeniowe.

A można było mieszkać w niewykończonym?

– Jasne. W latach 70., kiedy wykonawcy nie nadążali z realizacją planu, stwierdzili, że będą przyszli lokatorzy sami je sobie wykończą. Ale i te

gotowe mieszkania inne były od dzisiejszych tzw. „pod klucz”. Nie było listew podłogowych, parkietu, standardem był lenteks, okna nie chciały się domykać albo były problemy z ich otwieraniem, nie działały zamki w drzwiach. Nie było kafelków, w łazience minimalne wyposażenie. Niby banalne sprawy, ale utrudniają życie. Chociaż, wtedy nikt nie narzekał, ludzie cieszyli się z tego, co było.

Moja znajoma mieszka w bloku, w którym na korytarzach zachowały się toalety. W latach 50. lokatorzy nie mieli łazienek w mieszkaniach, ale i tak byli zadowoleni, że nie muszą biegać do wychodka na podwórku.

– Wtedy ludzie nieco inaczej pojmowali sformułowanie „przyzwoity standard”. Chociaż wystrój tych mieszkań to wcale nie była taka bieda z nędzą, jak nam się dzisiaj wydaje. Było dużo światła, kolorów, lekkich, prostych form. Część sprzętów ludzie budowali sami – ja do dzisiaj pamiętam regał sklecony przez tatę. Niektóre meble lokatorzy załatwiali albo zdobywali. A zdobyć można było prawdziwe rarytasy – na przykład meble Ikei, która miała swoje fabryki w Polsce, a Ursynów i inne osiedla z tego okresu urządzały się na „końcówkach serii”. To wszystko były rzeczy piękne, trwałe i funkcjonalne.

Mówisz o pięknych meblach, architekci narysowali piękne budynki, ale gdy rozglądam się po Ursynowie, to wcale nie jest tu tak wyjątkowo...

– Bo to nie jest wierna realizacja wizji Budzyńskiego. Po okresie „prosperity” za Gierka przyszedł kryzys, brakowało materiałów wykończeniowych, rozpadła się organizacja pracy, organizacja czegokolwiek. Stworzono nawet wystawę ze zdjęciami z budowy

Ursynowa, która miała służyć jako przykład złej organizacji budowy osiedla – tu należy winić wykonawcę i realia polityczne.

– Przez ten bałagan, brak pieniędzy i materiałów nie udało się zrealizować dużej części pierwotnej wizji architektów. W znakomitym stopniu nie powstała mała architektura, która miała nie tylko zdobić, ale również ułatwiać orientację na osiedlu, murki i schodki, na których można by przysiąść w trakcie spaceru. Wejścia na klatkę z eleganckimi zadaszeniami powstały z kompromisowych materiałów, brakowało farb. Oni marzyli o tym, żeby to osiedle nie tylko było, ale też żeby było piękne.

Co dzisiaj architekci Ursynowa myślą o swoim projekcie?

– Są dumni, ale nie bezkrytyczni. Wiedzą, że dostali ogromną szansę, wykorzystali ją tak, jak mogli. To, że do końca starali się walczyć o realizację swojego marzenia o dobrym miejscu do życia, po prostu budzi szacunek.

Więcej przeczytasz w serwisie www.kobieta.interia.pl.

RUM, RUMBA, REWOLUCJA

Monika Szubrycht

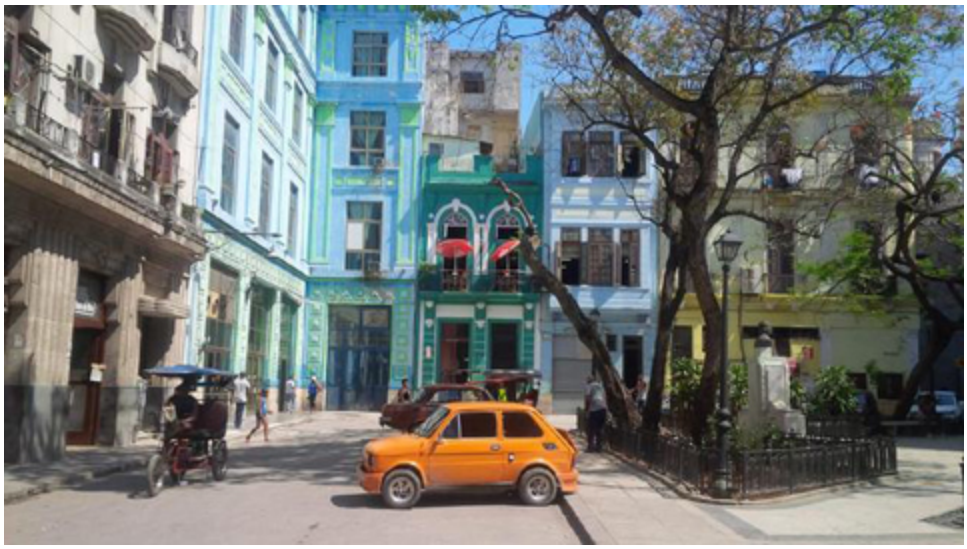

Mały fiat to częsty widok na ulicach Hawany /Styl.pl

Taniec, rum, słońce i jedyny w swoim rodzaju kolor morza – to tylko niektóre z atrakcji, jakie oferuje nam Kuba, najpiękniejsza karaibska wyspa. Podróżnik zobaczy tu krajobrazy zapierające dech w piersi, nasycone nieprawdopodobnymi kolorami. Posłucha muzyków grających na ulicy, w restauracji, czy w ogrodzie orchidei. Poza tym przynajmniej raz dziennie natknie się na podobiznę Che Guevary.

Kuba z perspektywy turysty jest tylko i wyłącznie piękna. Kuba z perspektywy turysty, który dowiedział się trochę więcej o jej historii, jest piękna, ale też wyjątkowa, bo ciąży na niej widmo smutku.

Wystarczy przespacerować się po zabytkowej Hawanie, gdzie można podziwiać kolonialne budynki, często pomalowane na intensywne kolory. Niestety, większość z nich jest zwyczajnie zrujnowana – ale wciąż zamieszkana.

Drzewo, które wyrosło na balkonowej balustradzie, odrapana klatka schodowa, która została ozdobiona muralami – to częsty widok.

Wchodzimy w pasaż Callejón de Hamel, który kojarzy mi się ze Złotą Uliczką w praskich Hradczanach. Jego pomysłodawcą jest Salvador González Escalona – rzeźbiarz, malarz, muralista i metalurg zarazem. Stąd zapewne na każdym kroku na Callejón de Hamel widać połączenie wielu technik plastycznych. Kiedy w latach 90. artysta zaczął tworzyć swoje dzieła, odwołujące się do religii, był to absolutny przełom. Nowe nurty łączył ze sztuką afrykańską i afro-kubańską.

Mamy szczęście, bo spotykamy Salvadora we własnej osobie. Opowiada nam o początkach twórczości, o tym, co go inspirowało: – Drzewo, które jest odcięte od swoich korzeni, nie daje owoców – twierdzi Salvador González Escalona. Nie wolno nam zapominać o naszych początkach. I dodaje: – Tylko szanując to, co było wcześniej można stworzyć coś nowego. Gdzieś wysoko, na dachu, umieszczone są dwie beczki. W jeden znajduje się czarna woda, a w drugiej biała – to symbol, który ma uzmysłowić nam, że Kuba jest wolna od rasizmu.

Podobną symbolikę mają tradycyjne, kubańskie laleczki. Są niczym dama na karcie do gry. Kiedy odwrócisz je do góry nogami, zamiast kończyn pojawia się druga głowa i kolejna para rąk. Lustrzanego odbicie

postaci z drugiego końca, tyle, że o innym kolorze skóry. Nieważne czy biały, czy czarny – ludzie są tacy sami.

Malecón żyje nocą

Malecón to ośmiokilometrowa nadmorska promenada. Ożywa nocą, kiedy młodzi ludzie przychodzą tu, by usiąść sobie na murku, śpiewać, tańczyć do muzyki puszczanej z boomboxa, albo pograć na gitarze. Tu zawiązują się nowe przyjaźnie i rodzą się miłości. U sprzedawców z obwoźnymi kramikami można kupić prażone orzeszki, zwinięte w rulonik z białego papieru. Siedzimy na kamiennym, szerokim falochronie i pijemy rum z małych, tekturowych opakowań, w jakich kupuje się u nas soczki dla dzieci. Rozmawiamy z Kubańczykami siedzącymi obok, pytają, skąd jesteśmy.

Malecón: Tu zawiązują się nowe przyjaźnie i rodzą się miłości /Styl.pl

Młodych ludzi jest dużo, siedzą w grupkach, wszyscy uśmiechnięci i zadowoleni, jakby dla nich wakacje trwały cały rok. Robi się późno, więc łapiemy białego cadillaca, który odwozi nas do hotelu. Taksówki na Kubie

są w pierwszej dziesiątce atrakcji turystycznych. To zabytkowe, mające po kilkadziesiąt lat samochody, ale wyglądają jak nowe. Czas się dla nich zatrzymał.

XVI wiek to dla Hawany złote czasy. Jest jednym z najbogatszych miast, marzeniem grasujących w okolicy piratów. Nie sposób się dziwić, że miasto potrzebuje mocnych fortyfikacji. Tak powstają kolejno El Morro, La Punta i La Cabana. Ta ostatnia, wybudowana w XVIII, jest najpotężniejszą fortyfikacją obu Ameryk, nigdy nie została pokonana. To tam Fidel Castro więził Hubera Matosa, swojego towarzysza broni. Zaledwie pół roku po zwycięstwie rewolucji i obaleniu dyktatora Batisty, Fidel chciał skazać Matosa na śmierć, tylko dlatego, że ów podał się do dymisji. Matos bowiem zauważył, w jakim kierunku zmierza polityka Castro. Nie chciał stać przy dyktatorze.

Kara została jednak zamieniona na 20 lat więzienia – Matosa uwielbiali żołnierze, cenili jako doskonałego dowódcę i być może Castro bał się zamieszek w armii, dlatego odstąpił od skazania dawnego przyjaciela na śmierć. Po 20 latach więzień – o dziwo – wychodzi na wolność. Pomogła mu opinia lekarza, który stwierdził, że Matos pożyje w najlepszym razie kilka miesięcy. Jego płuca były bowiem w dramatycznym stanie, po pięciu latach podtruwania oparami z nafty. Chory Huber Matos wyemigrował do USA, ale na złość Fidelowi dożył 95. lat. Wywiady z nim są skarbnicą wiedzy na temat prawdziwej historii Kuby. Innej niż ta, którą oglądają na krajowych kanałach telewizyjnych Kubańczycy.

Z El Morro rozpościera się piękny widok na Malecón, warto tam wejść zanim zapadnie zmrok. U stóp El Morro kwitnie drobny handel. Sprzedawcy z kramików rozstawionych pod twierdzą zachęcają do nabycia pamiątek, kolorowych, ale wykonanych z lichych materiałów. Tu

magnesy z zabytkowymi autami, z których słynie hawańska ulica, tam torebki zrobione ze skóry, ale też z kapselków z metalowych puszek, ówdzie cedrowe pudełka na cygara.

Nie można też opuścić Hawany bez zobaczenia Cmentarza Kolumba, Placu Rewolucji i Muzeum Rewolucji. Pierwsze miejsce oglądam z zachwytem, spacerując między grobowcami. Niektóre wyglądają jak małe pałace. Marmurową biel można porównać tylko z kamieniami spotykanymi na nabrzeżach wysp greckich. Przewodniczka opowiada nam o tych, którzy zostali tu pochowani. O prawnikach, muzykach, politykach, ale też młodej kobiecie, Amelii, która zmarła przy porodzie, wraz ze swoim dzieckiem. Zrozpaczony mąż dniami i nocami czuwał przy ich grobie. Dzisiaj Kubańczycy wierzą, że nieszczęsna Amalia potrafi czynić cuda. Wystarczy ją tylko poprosić. Stąd przy jej grobowcu wiele tabliczek dziękczynnych, ufundowanych przez osoby, którym pomogła.

Cmentarz Kolumba zachwyca bielą marmurów /Styl.pl

Plac Rewolucji sprawia wrażenie opuszczonego. Widać tylko autokary wycieczkowe i sylwetkę zagubionego żołnierza. Muzeum Rewolucji z kolei

jest w remoncie. Ale sala główna, w której znajdują się rzeczy dla państwa najważniejsze – kołyska Fidela i jego zdjęcia z różnych etapów życia – żyje własnym życiem. Najbardziej szokują mnie karykatury prezydentów USA, podpisane niewybrednymi określeniami typu debil, czy kretyn.

Wieczorem idziemy na koncert Buena Vista Social Club. Jest w kamienicy, która wygląda jak pałac z odkrytym sufitem. Widać gwiazdy, słychać muzykę, a ludzie wokół tańczą. Mamy szczęście, bo śpiewa również Juana Bacallao, która z racji na swój wiek – 91 lat – nie co dzień występuje z zespołem. Słuchając, jak mocny ma głos i jak potrafi poderwać publiczność, trudno uwierzyć, że data jej urodzin jest prawdziwa.

Trynidad synkretyczny

Tak jak Hawana olśniewa wielkością, tak Trynidad zachwyca przytulnością. Miasteczko wydaje się małe i przyjazne. Zwiedzanie zaczynamy od pałacu możnego pana, który miał aż 30 niewolników. Przypominają mi się wszystkie odcinki „Niewolnicy Isaury”. Bogaty dom olśniewa pięknymi pamiątkami po minionej epoce. Ale gdy pomyśli się o niewolnikach tam pracujących, których porywano w Afryce i ładowano na statki, by przewieźć w nieludzkich warunkach do Nowego Świata – zachwyt nad porcelanowymi zastawami blednie.

Już tu, na miejscu, niewolników prześladowano za wyznawanie religii przodków. Część z nich umarła w męczarniach, nie chcąc wyrzec się starej wiary, inni natomiast, widząc, że opór w niczym nie pomoże – postanowili się dostosować. Oficjalnie przyjęli chrześcijaństwo, co nie przeszkodziło im pozostać przy swojej pierwotnej, afrykańskiej religii.

Po dziś dzień duża część mieszkańców Kuby chodzi do katolickiego kościoła, ale odprawia też inne nabożeństwa, prowadzone przez kapłanów obrządku zwanego santerią, swoistej mieszanki katolicyzmu z tradycyjnymi wierzeniami ludu Joruba.

Wyobrażam sobie mroczną świątynię afrykańskich bóstw. Gdy więc wchodzę do tej prawdziwej, nie mogę przestać się uśmiechać. Obok krzyża nastawiano mnóstwo szklanych naczyń z wodą. Z góry spogląda na nas ciemnoskóra lalka w szatach Matki Boskiej. W ramionach trzyma Dzieciątko Jezus.

Podchodzi do nas mężczyzna w średnim wieku, ubrany na biało – to kapłan, choć wygląda bardziej jak piekarz. Gdzieś obok mojej nogi przechodzi kura. Biorę album ze zdjęciami i oglądam fotografie z religijnych uroczystości.

Kapłan pokazuje nam skarby ukryte w szafie /Styl.pl

Rum i cygara

Wśród Kubańczyków jest duży odsetek stulatków. Średnia wieku życia na wyspie jest większa niż w Europie i wielu innych krajach. Myślę, że morska bryza i słońce mają na to wpływ. Inni uważają, że dobry tytoń i mocny napój mają większe znaczenie. Zwiedzamy fabrykę cygar. Wszystkie są robione ręcznie przez jednego człowieka, od początku do końca. W fabryce nie wolno robić zdjęć – nie mogę więc pokazać, jak piękna Kubanka zwija tytoń na swoich udach. Tym bardziej, że to żart, a raczej legenda o tym, jak wyglądała produkcja cygar za panowania Batisty, sługusa Ameryki, którego obaliła rewolucja.

Plantator tytoniu pokazuje, jak skręca się cygaro /Styl.pl

Na zdjęcia godzi się za to plantator tytoniu, który opowiada nam od początku do końca jak wygląda uprawa tytoniu i pokazuje, jak się skręca cygaro. Na końcu zapala je i częstuje nim naszą wycieczkę. Żartuje, że 80 proc. tego, co wyhoduje, oddaje państwu – a 30 proc. zostawia sobie.

Fidel wiecznie żywy

Fidel Castro nie umrze. To pewne. Wielcy tego świata nie umierają, tylko odchodzą do wieczności. Tak podają kubańskie media. Ale choć kult jednostki wciąż obowiązuje, na wyspie powoli zaczyna się coś zmieniać. Raúl Castro w 2014 roku wprowadził reformy gospodarcze, uwalniając część zawodów spod ścisłej kontroli państwa. Można więc wynajmować turystom swoje domy, można pobierać opłaty za WC.

Ale najważniejszym gestem było zwolnienie z więzień dysydentów, w obronie których przez ponad 10 lat stawały matki, żony i córki – tzw. Damy w Bieli. Ubierały się na biało, by podkreślić niewinności i czystość swoich intencji. Lżone i atakowane przez nasyłane przez państwo bojówki nie dały się zastraszyć.

Kubańska opozycja działa na obczyźnie. Jej aktywiści podkreślają, że jeśli na wyspie ma nastąpić zmiana ustroju, wszystko powinno odbyć się w pokojowej atmosferze. Nie ma miejsca na zemstę i rozpamiętywanie krzywd, na bratobójcze walki. Ale przewrotu nie widać. Większość Kubańczyków nie zdaje sobie sprawy z tego, że wielki Fidel Castro doprowadził swój kraj do ruiny. Innej rzeczywistości przecież nie znają.

138 masztów zasłania budynek ambasady USA. Dziś nie ma tu łopoczących flag /Styl.pl

Przed ambasadą USA stoi 138 masztów. Kazał je tu zainstalować sam Fidel, by łopoczące na wietrze flagi zasłoniły wolnościowe hasło. Kiedy robimy im zdjęcia, do mojej koleżanki podchodzi straszy mężczyzna. Tłumaczy jej, że dzięki Castro naród ma tak wiele, darmową opiekę lekarską i edukację... Czy moja koleżanka ma prawo zaprzeczyć? Powiedzieć mu prawdę? A nawet jeśli mu powie, czy starszy mężczyzna będzie chciał zrozumieć? „Rewolucja albo śmierć” – to jego motto życiowe.

Więcej przeczytasz w serwisie www.styl.pl.

PIESZO PRZEZ GÓRY IRANU

Izabela Grelowska

Kurdystan, okolice Divanderreh, fot. Łukasz Supergan

Takie podróże pokazują ci, kim naprawdę jesteś – opowiada Łukasz Supergan, który w 76 dni przeszedł pustynne góry Iranu. Samotna wędrówka przez trudny teren w upale i w śniegu była okazją do spotkania z ostatnimi irańskimi nomadami i do spotkania z samym sobą.

Izabela Grelowska, Styl.pl: Co było głównym celem twojej wyprawy: spotkanie z ludźmi czy przejście gór Zagros?

Łukasz Supergan: – Moim celem było przejście gór. Miałem też nadzieję, że spotkam ostatnich irańskich nomadów i zobaczę, jak żyją. I chociaż to mi się udało, było inaczej niż się spodziewałem. Myślałem, że będę tygodniami wędrował przez kompletnie pustynne góry, a okazało się, że regularnie spotykałem ludzi. Spodziewałem się dużych problemów z wodą, a znajdowałem ją codziennie. Spotkania z nomadami były rzadsze niż sądziłem, zostało ich niewielu, ale Zagros to, jak się okazało, góry zamieszkane, choć nie widać tego na zdjęciach satelitarnych i mapach.

– Po powrocie zdałem sobie sprawę, co było owocem tej wyprawy – spotkałem zwyczajnych ludzi, mieszkańców wsi i miasteczek, którzy pokazywali mi prowincjonalny i prawdziwy Iran.

W Iranie byłeś już wcześniej, ale głównie w miastach. Czym cię zaskoczył ten prowincjonalny Iran?

– Zaskoczyła mnie atmosfera pustynnych gór. Wędruje się, mijając po drodze dwie małe wsie w ciągu dnia. Pustynia jest pocięta drogami, zazwyczaj żwirowymi, rzadziej asfaltowymi. To często jedyny szlak łączący wsie odległe od siebie o 15–20 km. Kiedy szedłem przez północny i środkowy Zagros, temperatura w ciągu dnia sięgała 30–35 stopni. Wędrowałem więc powoli, kryjąc się przed słońcem, by nie stracić sił w upale. Atmosfera samotności i izolacji w tych pustynnych górach była dominująca.

– Zaskoczył mnie też sposób, w jaki mieszkają ludzie. Domy w Zagrosie są budowane najczęściej z pustaków albo glinianych bloczków i pokrywane

warstwą gliny. Wyglądają jak lepianki i sprawiają wrażenie bardzo biednych. Ale kiedy wejdzie się do środka, wrażenie jest zupełnie inne. To normalne domy, czasami skromne, ale bardzo funkcjonalne.

Spotkałeś się z niesamowitą gościnnością...

– To w Iranie jest typowe. Prawo gościnności jest tam święte. Iran to wiele narodów: Persowie, Azerowie na północy, bardziej na południe Kurdowie, ale bez względu na to jakim językiem mówią, mieszkańcy Iranu zawsze są niesamowicie gościnni.

Byłeś zapraszany do domów, spędzałeś z tymi ludźmi czas, ale nie znasz perskiego. Jak się z nimi dogadywałeś?

– Było to momentami trudne, bo po persku znam około 50 słów: nauczyłem się liczebników, byłem w stanie poprosić o wodę, czy kupić jedzenie. W wielu sytuacjach musiała wystarczać mowa gestów. Co ciekawe, w ten sposób o wiele łatwiej było się porozumieć ze starszymi ludźmi. Oni są mistrzami porozumiewania się pozawerbalnego i w mig łapali, o co mi chodzi. Dwudziestoletni Irańczycy, kiedy widzieli, że ich nie rozumiem, powtarzali to samo tylko głośniej. Z sześćdziesięciolatkami było inaczej. Spotykałem ludzi, z którymi znaliśmy pięć wspólnych słów, a potrafiliśmy rozmawiać godzinami.
– Z drugiej strony spotykałem sporo osób, które znały angielski. Z takich spotkań starałem się wyciągnąć jak najwięcej. Paradoksalnie, pomimo że jest to państwo policyjne, to Irańczycy w rozmowie z cudzoziemcem nie stronią od polityki, spraw ekonomicznych, czy obyczajowych, bo wiedzą, że ten człowiek nie będzie kapusiem.

Wyruszyłeś na w poszukiwaniu nomadów, ale da się zauważyć, że spotkania z ludźmi szybko zaczęły cię męczyć, że zacząłeś przed nimi uciekać, szukając samotności w górach.

– W czasie takiej podróży potrzebuję równowagi – chcę spotykać ludzi, aby od nich nauczyć ich kraju. Dowiedzieć się kim są, jak im się żyje. Jak funkcjonują w tak trudnym środowisku, gdzie ziemia jest jałowa, a dostęp do wody utrudniony. Chciałem wiedzieć, jak postrzegają Iran i świat zewnętrzny, co myślą o Europie. Pewien chłopak zapytał mnie, czy u nas kobiety noszą hidżab. Zaskoczyło mnie, że w dzisiejszym świecie ktoś może mieć tak fałszywe wyobrażenie o Europie.

– W drugiej połowie wyprawy zacząłem jednak unikać spotkań. Na południu Iranu nie mogłem znaleźć wody na pustyni i musiałem iść drogami od wsi do wsi. Spotkania z ludźmi były codziennością, a ja czułem już ogromne zmęczenie tą podróżą. Chciałem każdego dnia pokonać jak najwięcej kilometrów, aby zakończyć jakiś odcinek i zgodnie z planem dotrzeć do oceanu. To powodowało, że nieco zamknąłem się na ludzi. Z perspektywy czasu uważam, że to nie było dobre podejście, bo i w tej ostatniej fazie podróży było kilka naprawdę fajnych spotkań.

Łukasz Supergan w 76 dni przeszedł pustynne góry Iranu

Twoja książka to nie tylko relacja z wyprawy, to także opis podróży wewnętrznej.

– Wysiłek, czasami krańcowy, sprawia, że taka podróż to także spotkanie z samym sobą. Trudności pokazują mi, na ile jestem mocny, ile potrafię znieść. Kiedy człowiek wychodzi poza strefę komfortu, podróż zaczyna być podróżą w głąb siebie. Ktoś kiedyś powiedział „Nie wyruszaj w podróż, na którą cię stać" i nie chodzi tu o możliwości finansowe, a mentalne. Takie podróże, które są trudne, które są wyzwaniem, pokazują ci, kim jesteś naprawdę.

Dajesz czytelnikowi wgląd w twoje stany psychiczne, słabości.

– Kiedy człowiek idzie przez pustynne tereny, jedynie dwa razy dziennie natrafiając na jakąś wieś, po pewnym czasie zaczynają dopadać go

refleksje, wracają wspomnienia i trzeba się z nimi rozliczać. W czasie takiej podróży dochodzi się do ładu z samym sobą.

– Uznałem, że gdybym napisał jedynie techniczną relację z podróży, to opis nie byłby kompletny. Ta historia jest uczciwa, bo pokazałem też wątpliwości, które przeżywałem.

A pod względem fizycznym ta wyprawa była wyjątkowym wyzwaniem.

– Ta wędrówka była trudna i obciążająca, ale przygotowały mnie do niej poprzednie wyprawy. Przez Hiszpanię szedłem w 35–stopniowym upale, Łukiem Karpat wędrowałem z dala od cywilizacji, podczas podróży do Azji dopadały mnie zatrucia. Gdyby to wszystko przydarzyło mi się podczas pierwszej wyprawy, byłoby to doświadczenie krańcowe, ale to, co robiłem przez ostatnich kilkanaście lat oswoiło mnie z trudnymi warunkami.

Byłeś sam, w pustynnych górach, kiedy dopadło cię zatrucie. Mocno to odchorowałeś. Czy to nie było przerażające doświadczenie?

– Nie. Wiedziałem, że nawet chorując będę w stanie się ewakuować. W ostateczności dotarłbym do jakiejś wsi i pokazał, że mam gorączkę, że potrzebuję pomocy. Ale niewątpliwie pierwsza połowa przejścia Zagrosu była jedną z moich najtrudniejszych wypraw. Upał, później deszcze, a ja nagle zacząłem czuć się źle. I jednocześnie wiedziałem, że nie mogę się zatrzymać. Nie było mnie też stać na to, żeby zejść do miasta i tam odpocząć tydzień. Z uporem szedłem przed siebie i widziałem, że nie mam wyjścia.

Samotna wędrówka przez pustynne góry kojarzy mi się z ogromnym poczuciem wolności. Z drugiej strony przyznajesz, że uległeś

oczekiwaniom innych lub raczej własnemu wyobrażeniu o tych oczekiwaniach.

– Tak, miałem założenie, że dotrę do oceanu i trudno mi było z tego zrezygnować. Wydawało mi się, że to oznaczałoby klęskę. Teraz uważam, że gdybym zmienił plan, być może wyprawa byłaby nawet bardziej owocna. Może poznałbym więcej fajnych historii, zrobił więcej ciekawych zdjęć.

– Jednak wtedy postrzegałem tę podróż jak wyczyn. Nie bez znaczenia było też to, że pierwszy raz na taką skalę korzystałem z czyjejś pomocy – 170 różnych osób i instytucji pomogło mi w zebraniu środków na tę wyprawę. Wsparcie takiej społeczności było niesamowicie budujące, ale czułem też presję, że muszę zrealizować to, co zapowiedziałem. Teraz myślę, że mogłem bardziej zaufać ludziom, bo jestem pewien, że zaakceptowaliby moją decyzję o zmianie planów.

– Po tym doświadczeniu zrozumiałem, że życie to nie jest droga ekspresowa między kołyską a śmiercią. Nie chodzi o to, żeby jak najszybciej przebyć drogę, ale żeby jak najpełniej przeżyć każdy dzień. Kiedy kilka miesięcy później pojechałem do Francji, aby przejść grzbiet Pirenejów, postanowiłem się nie spieszyć, ale zadbać o to, aby każdy dzień był fajny. Na samym początku uwolniłem się od presji wyniku liczbowego. W końcu udało mi się dojść na dzień przed terminem, ale nie zamieniłem tej wędrówki w wyścig.

Teraz planujesz wyprawę na Islandię.

– Tak. Chcę przejść Islandię ze wschodu na zachód. To trudna trasa, bo wiedzie przez środek wyspy, który jest wulkaniczną pustynią. Nie będę miał problemów z wodą, ale nie będę też miał zaopatrzenia, co oznacza, że zabieram ze sobą jedzenie na trzy tygodnie. Plecak będzie ważył 27

kilogramów. Teren jest trudny, pogoda jest fatalna, nawigacja jest skomplikowana i jest to miejsce które będę poznawał od zera – będzie ciekawie. Będę poruszać się w bardzo różnorodnych krajobrazach. Jadę z biletem w jedną stronę, nic mnie nie goni, ale liczę się też z tym, że może mi się nie udać. Nie zależy mi już na biciu rekordu, ale na fajnej przygodzie.

Więcej przeczytasz w serwisie www.styl.pl.

BRACIA MINKIEWICZOWIE: W WILQ NIGDY NIE PRZESADZILIŚMY

Michał Ostasz

Bracia Minkiewiczowie - twórcy komiksu Wilq /materiały prasowe

Stworzyli „jedną z pięciu najśmieszniejszych rzeczy na świecie”, ale stronią od pokazywania twarzy. Na całe szczęście udało mi się ich namówić na więcej niż kilka słów. Z Bartkiem i Tomkiem

Minkiewiczami porozmawiałem nie tylko o ich najsłynniejszym dziele – komiksie „Wilq” – ale także o branży, zwariowanym poczuciu humoru, żółwiu Maciusiu i nadchodzącym wielkimi krokami serialu o superbohaterze z Opola.

Nowy Jork ma drużynę Avengers, fikcyjne Gotham City Batmana, a Opole... Wilqa – kurduplowatego herosa, który nie zawsze czerpie przyjemność z ratowania swojego miasta. Stworzony przez braci Minkiewiczów superbohater doczekał się aż 23 albumów o swoich przygodach i od lat cieszy się nieustającą popularnością wśród polskich czytelników. Komiks ten charakteryzuje nie tylko postać głównego bohatera, ale również specyficzna kreska, absurdalny humor i przekleństwa. Dużo, dużo przekleństw.

Michał Ostasz, Interia: Dlaczego Wilqu nie może być normalnym superbohaterem?

Bartek Minkiewicz: – Jakby był normalny, to nie miałby racji bytu. Tych normalnych herosów jest całe mnóstwo. To pastisz. Im mniej jest normalny, tym jest to ciekawszy. Zakładamy, że ludzie znają konwencję komiksów superbohaterskich. Nasze żarty budujemy na przewracaniu rządzących nimi reguł do góry nogami.

Jak zaczęła się wasza przygoda z komiksem?

Tomek Minkiewicz: – Jak wszystkich ludzi, którzy mają tyle samo lat co my – Kajko i Kokosze, Tytusy, Thorgale.

Bartek: – Mama kupiła nam kiedyś „Świat Młodych”. Tam na ostatniej stronie był fragment przygód Kajko i Kokosza, dosłownie jedna strona i to zupełnie wyrwana z kontekstu. Pamiętam, że czytałem to w kółko. Zupełnie nie rozumiałem o co tam chodziło, ale ta zagadka mnie

fascynowała. A potem jak powiedział Tomek – Tytusy, Thorgale, komiksy Baranowskiego.

Tomek: – Te ostatnie okazały się bardzo inspirujące!

Bartek: – Komiksy wciągały przez przygodę. W świecie Thorgala aż chciało się zanurzyć, a w dziełach Baranowskiego była ta dodatkowa warstwa humoru.

A jak zaczęliście rysować własne plansze? Pamiętacie?

Bartek: – Dużo rysowaliśmy. Zaczęliśmy naśladować komiksy zapełniając podobnymi rysunkami szkolne zeszyty. Było to odtwórcze, ale ta zabawa nas rozwinęła. Komiks w ogóle pozostał zabawą. Tak naprawdę ta faza nigdy się nie dla nas nie skończyła. Nie jest tak, że wstajemy rano i idziemy pracować przy komiksie. To hobby robione po godzinach.

Kiedy zapadła decyzja o tym, aby spróbować opublikować wasze prace?

Tomek: – W momencie, w którym wybraliśmy krakowską Akademię Sztuk Pięknych wiedzieliśmy, że będziemy mieli coś wspólnego z szeroko pojętą działalnością artystyczną, ale chyba obaj nie sądziliśmy, że kiedyś będziemy na komiksach zarabiać pieniądze.

Bartek: – Na roku spotkałem Krzysztofa Tkaczyka, który był jedną z ważniejszych osób w krakowskim światku komiksowym i to właśnie on rozpalił we mnie miłość do komiksu na nowo. Myślałem, że na ASP odpocznę sobie od tej formy, zajmę się wysoką sztuką. Tak mi przynajmniej poradzili na egzaminie wstępnym. Stało się jednak inaczej. Razem z Krzyśkiem rysowaliśmy i zawoziliśmy prace na konkursy i wystawy na konwentach. Pierwsze publikacje pojawiły się właśnie w pismach okołokonwentowych. Próbowaliśmy też wysyłać je do gazet – z lepszym i gorszym skutkiem.

– Wilqa robiłem dla jaj, a sam próbowałem iść w kierunku realistycznego komiksu, bogato rysowanego i w kolorze. To miały być poważne historie. Jednakże to właśnie dwie lub trzy historie o Wilqu wysłaliśmy do „Produktu” (kultowego magazynu komiksowego wydawanego w latach 1999–2004 r. – red.). Byliśmy zadowoleni, że trafiły na jego łamy, a jak już dostaliśmy odzew, że się podobają, to już w ogóle wpadliśmy w szał. To był pretekst, aby rysować go dalej. Wilqu na dobre zadomowił się w „Produkcie”. Zaczęliśmy myśleć o własnym wydawnictwie... W ogóle to zapomniałem dodać, że „Wilq” powstał w liceum. Były to rysunkowe żarty, często chamskie i grubiańskie, z naszych szkolnych koleżanek i kolegów. Wilqu na początku nie był superbohaterem. Na ten pomysł wpadliśmy dopiero później.

Jak teraz pracujecie nad waszym komiksem? Wymyślacie wszystko razem?

Bartek: – Nigdy się nie widujemy. W ogóle to z bratem widzę się na żywo pierwszy raz od 5 lat. (śmiech)

Tomek: – Ja mam najfajniejszą robotę. Spisuję pomysły – często w formie scenariuszy, ale raczej w postaci „okołoscenariuszowej” jako luźne wątki. Wysyłam je Bartkowi i... mam spokój. Przynajmniej do momentu aż komiks będzie wydrukowany, a ja go będę mógł przeczytać. W międzyczasie oczywiście wymieniamy się pomysłami...

Bartek: – ...przez telefon!

Tomek: – Tak, przez telefon. Ale nie ma raczej jednej koncepcji. Rozwijamy je osobno.

Bartek: – Tomek wysyła mi swoje scenariusze, a ja je interpretuję rysunkami. Często dodaję coś od siebie. Wymyślanie i rysowanie „Wilqa”

jest bardzo intuicyjne. Założyliśmy sobie, że ten komiks będzie miał taką „chuligańską” strukturę. Pozwalamy sobie na anarchię.

Tomek: – Sami też wydajemy te historie. Mając własne wydawnictwo mamy ogromną swobodę. Nie musimy wydawać kolejnego albumu na określony termin.

Bartek: – Komiksy leżą u mnie w garażu. Często sam robię wysyłkę idąc po prostu na pocztę. Kręci się to bardzo... XIX–wiecznie.

Od samego początku robicie „Wilqa” razem?

Tomek: – Zaczęło się od wspomnianych rysunków Bartka z czasów licealnych. Dopiero kiedy wszystko zaczęło się rozrastać, brat zaproponował mi, abym od czasu do czasu rzucił jakimś pomysłem. Ja mam do niego pełne zaufanie – żadna z jego decyzji odnośnie komiksu nie była zła. Bartek ma też ostatnie słowo odnośnie zawartości każdego albumu. Zdarzyło się tak, że bodajże w numerze 16. nie było nic mojego...

Bartek: – Ale za to ten z Gondorem był cały twój!

Często pojawiają się w sieci wasze humorystyczne obrazki. Co jest dla was łatwiejsze do wymyślenia: przygody Wilqa, czy też „shorty” oparte na jednym żarcie?

Tomek: – Ja mam spostrzeżenie, że łatwiej wymyśla mi się dłuższe historie. Często mam pomysł na żart, którego nie mam jak skrócić. Często muszę czytelnika podprowadzić do śmiesznej puenty.

Bartek: – „Wilqa” się rysuje wtedy, kiedy ma się pomysł. Te krótkie rzeczy robimy na termin. Mamy kilku klientów, którzy zamawiają u nas rysunki. Na dzień, dwa przed deadlinem – o ile nic się nie wymyśliło – zaczyna pojawiać się stres. Trudno jest wymyślić coś śmiesznego na zawołanie. Raz w tygodniu wysyłam żarty do Tygodnika Powszechnego. Strasznie się z tym morduję i prawie zawsze robię to na minuty przed końcowym

terminem. „Wilq” jest z kolei samą przyjemnością. Jak mam wolną chwilę to rysuję.

Tak wyglądała rozmowa z braćmi M. Naprawdę! /materiały prasowe

Wilqu nie ma żadnych hamulców i nie uznaje żadnych świętości. Czy nie mieliście kiedyś refleksji, że z czymś przesadziliście?

Bartek: – Nie. Ktoś tylko zwrócił mi uwagę, że przegiąłem, ale się z nim nie zgodziłem. W 7. numerze dodawaliśmy vlepki, które można było gdzieś sobie przykleić. Było na nich hasło „Jak często puszczałaby się twoja matka, gdyby mogła? Raz w tygodniu, dwa razy w tygodniu, trzy razy w tygodniu.” Mój znajomy stwierdził, że przesadziliśmy. Wyprzedziliśmy swoje czasy, teraz przeszłoby to bez echa.

Tomek: – Ostrzegamy, że w komiksie jest sporo żartów tylko dla dorosłych i że jest on wypchany po brzegi wulgaryzmami. Chociaż zdarzyło się tak, że odezwali się do nas jacyś miłośnicy zwierząt. Nie pamiętam o co chodziło dokładnie, ale dotyczyło to albumu, w którym ginęły dzieci i były najazdy nazistów oraz orgie. Chyba zginął też jakiś pies – i to wkurzyło tych ludzi najbardziej.

Bartek: – Ktoś nas też oskarżył, że Wilq to komiks homofobiczny, bo bohaterowie wyzywali się od „pedałów". A po odcinku, w którym pojawił się Carotino – Marchewkowy Pederasta tylko się zaogniło.

Tomek: – Ale to była bardzo sympatyczna postać...

Bartek: – ...tyle, że na końcu zostaje zastrzelony. (śmiech) Jedno oskarżenie na tyle zeszytów – chyba nie jest tak źle.

Powiedzieliście kiedyś, że główne postacie występujące w komiksach z serii „Wilq" są wzorowane na waszych znajomych. Naprawdę znacie prawdziwego Wilqa i Alc-Mana?

Bartek: – To są moi koledzy i koleżanki ze szkoły, z II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej w Opolu. Wszyscy byli bardzo sympatyczni i niesamowicie się zżyliśmy. Ja w ogóle funkcjonowałem w szkole jako dyżurny szyderca. Kiedy „Wilq" dostał drugie życie pod koniec studiów, to zdecydowałem się przenieść cały ten inwentarz. Nie zmieniałem postaci, stwierdziłem, że będą dla czytelników jeszcze bardziej interesujące. Tak jak śmieszyły kiedyś jedną grupę, tak teraz bawią tych nieznających pierwotnego kontekstu. Udało się.

Tomek: – Chyba wszyscy cieszą się, że unieśmiertelniłeś ich na łamach komiksu.

Bartek: – Postacie zaczęły trochę żyć własnym życiem, wyszły już tych licealnych ram.

Muszę o to zapytać – czy żółw Maciuś, którego ma komiksowy Wilq też istniał naprawdę?

Bartek: – Tak, mój kolega Michał – który jest pierwowzorem postaci Wilqa – miał żółwia o takim imieniu.

A samo Opole, które przedstawiacie w komiksie?

Tomek: – Używamy prawdziwych nazw. Górka śmierci, osiedle ZWM i tak dalej. Ale to tylko ozdoby, tła dla opowiadanych historii.

Bartek: – Dodatkowo nazwy ościennych miejscowości: Osowiec, Ozimek, Chmielowice – kojarzą się z tą Polską lokalną. Wszyscy superbohaterowie działają w kosmosie, albo jakichś megalopolis. W najgorszym razie w Nowym Jorku. A Wilqu musi jechać do Mysłowic – takie jest jego życie.

Skąd bierze się wasza skromność? Działacie nie tylko na polu komiksowym, samego „Wilqa" wydajecie z powodzeniem od ponad dekady. Przychodząc na spotkanie z wami musiałem się domyślać który z was to Tomek, a który to Bartek.

Tomek: – Niektórzy promują swoje dzieła własną osobą, ale my nie czulibyśmy się z tym dobrze,

Bartek: – Jak ktoś nie ma jakiegoś waloru, to maskuje to samym sobą. My mamy takie walory...

Tomek: – ...że nie pokazujemy siebie! (śmiech)

Bartek: – No nie lubimy tego po prostu. Nawet unikamy jeżdżenia na spotkania. Oczywiście są one megasympatyczne, ale raczej od nich stronimy. Nie dajemy też naszych zdjęć, tak się umówiliśmy z bratem. Naszą wizytówką jest „Wilq" lub coś, co jest rysowane moją kreską. To taka nasza identyfikacja wizualna.

Tomek: – I to działa. Ludzie wiedzą, że za żarty obrazkowe na Facebooku jesteśmy odpowiedzialni właśnie my, nawet jeśli nie ma na nich Wilqa.

Bartek: – Może to mało nowoczesne, ale ma sens i jest skuteczne.

Powiedzieliście, że „Wilqa" robicie w wolnym czasie, dla zabawy. A czy z tworzenia komiksów da się w Polsce wyżyć?

Tomek: – Jeśli myśli się o tym, aby wydawać je tylko w Polsce, to nie. Chcąc robić karierę w tej branży trzeba pracować na Zachodzie. Teraz da się robić wszystko zdalnie, więc jest to możliwe.

Bartek: – Może student mógłby się utrzymać, ale też nie bardzo.

Tomek: – Rozwiązaniem jest wyjście poza komiks, na przykład zrobienie animacji. W naszym przypadku bez pracy w reklamie strasznie byśmy biedowali.

Obaj pracujecie w tej branży?

Bartek: – Dla mnie to podstawowa praca.

Tomek: – Ja trochę z doskoku. Wcześniej tak, ale teraz wciągnąłem się z ilustratorstwo. Moim dziełem jest między innymi Mapa Przyszłości – graficzna książka dla dzieci, którą zrobiłem dla wydawnictwa Nasza Księgarnia. Zacząłem też więcej pisać – oczywiście mowa o literaturze dla najmłodszych.

„Wilq" nie jest dla ciebie sposobem na ucieczkę?

Tomek: – Przy „Wilq" mogę bawić się konwencjami. Na akademii robiłem dyplom z książek dla dzieci. Potem od tego odszedłem. Wróciłem dopiero wtedy, kiedy urodziła mi się córka. Uwielbiam to, że jednego dnia siedzę nad bajkami (więcej prac autora możesz zobaczyć na jego blogu – red.), a drugiego zamykam drzwi i mam prawdziwą jazdę bez trzymanki, bo wymyślam „Wilqa". (śmiech)

Jak oceniacie współczesny rynek komiksowy w Polsce? Z jednej strony półki uginają się od przeróżnych wydawnictw, ale z drugiej nie ma już czasopism branżowych, a mainstream dalej zdaje się mieć komiksowych twórców gdzieś.

Bartek: – Wydaje mi się, że to dalej nisza.

Tomek: – Trochę tak, trochę nie. Komiks ostał się w księgarniach. Młodzi ludzie sięgają po komiksy, a sama branża się profesjonalizuje. Wcześniej wszystko było na wariackich papierach. Ludzie nie znali się na ich wydawaniu i sprzedaży. Teraz jest wydawnictw, które komiks traktują serio. Raczej idzie to w dobrą stronę, chociaż nigdy nie będzie to tak popularne jak na zachodzie, na przykład we Francji.

Bartek: – Może się profesjonalizuje, ale nie będzie powszechne. Dawno temu usłyszałem, że kiedyś dzieci sięgały po komiksy. Dzisiaj sięgają po iPada. Jak ktoś się wciągnie, to raczej przypadkiem. Ale to dosłownie ułamek.

Tomek: – Moim zdaniem komiksy zastępują książki. Zobaczcie, że w sklepach są całe półki zawalone mangą.

Bartek: – Ale manga to zupełnie inna bajka. Jak ktoś czyta mangi, to czyta mangi. Nie przechodzi na „normalne” komiksy. Tyle. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie.

Co z waszym wielkim projektem, czyli serialem o przygodach Wilqa? W temacie panuje podejrzana cisza…

Bartek: – Dzieje się! Ale strasznie było dużo przy tym roboty. Umowy, finanse, producenci...

Tomek: – Wolimy mówić o tym, co jest, nie o tym, co będzie. Nauczeni doświadczeniem ze świata komiksu, gdzie często przesuwaliśmy premiery albumów, wolimy działać w ten sposób.

Bartek: – Niektórzy aż huczeli na temat projektów, z których ostatecznie nic nie wyszło. Dla nas byłby to wstyd.

Tomek: – Trwają zaawansowane prace. W tym roku oddajemy odcinki producentowi. Jednakże nie wiemy, kiedy zostaną one wyemitowane.

Bartek: – Producent trzyma nas krótko za mordę – i to dobrze. Sam zespół też jest świetny. Leszek Nowicki, który jest drugim reżyserem i osobą odpowiedzialną za animacje, jest genialny.

Tomek: – Jest to cały sztab ludzi, którzy mają niesamowicie dużo roboty. To coś innego niż nasza dwójka siedząca nad pojedynczym albumem.

Bartek: – Od czasów pierwszej krótkometrażówki z Wilqiem w roli głównej sporo się nauczyliśmy. Teraz wiemy jak dobrze przenieść ten klimat z plansz komiksu do animacji. Z Leszkiem współpracowaliśmy zresztą przy kilku innych produkcjach – o dziwo dla dzieci – i to dobrze wróży na przyszłość. Mamy już opracowane pewne mechanizmy i sobie ufamy.

Tomek: – Leszek zresztą „siedzi” w tym humorze. Możemy mu zaufać, bo czuje klimat.

Czy scenariusze poszczególnych odcinków serialu będą zupełnie świeże, czy to adaptacje historii z wydanych już albumów?

Bartek: – To rodzaj adaptacji. Będą oczywiście odpowiednio wzbogacone.

Tomek: – Nie będą to adaptacje 1:1.

Bartek: – Chcemy, aby były autonomiczne. Chcieliśmy wykorzystać żarty i pomysły, z których byliśmy wyjątkowo zadowoleni. Tak jak mówiłem – komiks to nisza. Teraz mamy szansę dotrzeć do znacznie większej liczby odbiorców.

Serial to obecnie wasze oczko w głowie, ale chyba nie rezygnujecie z papierowego „Wilqa”?

Bartek: – Nie! Teraz wydaliśmy numer 23. (przeczytaj naszą recenzję – red.), ale serial zaczyna pożerać coraz więcej czasu. Chcemy w tym roku wydać jeszcze jeden album zbiorczy i to w kolorze. Niedawno ukazał się taki z historiami z numerów 9–11, teraz wypadałoby zrobić kompilację 12–15. Celujemy w grudzień, ale nie wiemy jak będzie wyglądała sytuacja z serialem. Może okazać się, że po prostu zabraknie nam czasu. Na kolejny numer w tym roku raczej nie ma co liczyć. Mamy scenariusze – i to nawet na cały zeszyt. Tyle, że zrobienie albumu pochłania masę czasu. To jest XIX w. Najpierw rysuje się ołówkiem, poprawia pisakiem, potem się gumuje i wreszcie skanuje. Tak to chyba człowiek pierwotny rysował komiksy! (śmiech)

Czyli na spin-offy poświęcone bohaterom Wilqa raczej nie ma co liczyć?

Tomek: – My tak w ogóle nie myślimy o komiksie. U nas dana postać pojawia się, bo jest potrzebna do konkretnego żartu.

Bartek: – Tworzymy od szczegółu do ogółu. Wymyślamy bohatera, zastanawiamy się, czy będzie on z Opola, czy też z innego miasta i co ma wspólnego z Wilqiem. Nie piszemy na zasadzie „w przyszłym roku wprowadzimy do komiksu nową postać”. To tak nie działa. Czasami postacie poboczne dostają historie, w których to one grają pierwsze skrzypce. Tak na przykład było z komisarzem Gondorem w numerze 20. Ale „Wilq” to nie komiks formatu Batmana, który ma miliony fanów na całym świecie i można do niego dokładać wieloodcinkowe historie innych bohaterów.

Tomek: – Zbiór postaci występujących w „Wilq” jest tak ze sobą związany, że one właściwie nie działają w pojedynkę.

Bartek: – To de facto jeden bohater. Bez siebie byliby mało ciekawi.

Tomek: – Wilqu najchętniej siedziałby cały dzień na kanapie. To Alc-Man napędza całą akcję.

Bartek: – Nawet przy pracy nad serialem okazało się, że najważniejsze jest znalezienie odpowiedniego aktora, który podłoży głos Alc-Manowi. Ta postać właściwie jest narratorem i ma najwięcej kwestii.

Tomek: – Ma właściwie tyle tekstu, ile wszystkie inne postacie razem wzięte!

Wasze prace są regularnie publikowane w sieci. Czy Facebook i inne portale internetowe przysłużyły się do popularności Wilqa?

Tomek: – Samego „Wilqa” nie, autorów też nie. Ale samej kreski jak najbardziej.

Bartek: – Przysłużyło się też finansowo.

Tomek: – Zauważyli nas potencjalni zleceniodawcy.

Bartek: – Raz na tydzień, raz na dwa tygodnie jesteśmy pytani o to, czy czegoś byśmy nie narysowali i za ile. Bez Facebooka by tego nie było. Ale sprzedaż „Wilqa” pozostaje na tym samym poziomie, twardo się trzyma na tej samej pozycji.

Macie jakiś projekt marzeń?

Tomek: – Dla mnie realizacja serialu już jest spełnieniem marzeń. Pamiętam jak przy 5. lub 6. numerze marzyliśmy o realizacji filmu. To było oderwane od rzeczywistości, a jednak się spełniło.

Bartek: – Następny poziom to już chyba Hollywood. Produkcja filmowa z aktorami. Mógłbym „narysować” kolejnego Bonda, albo zrobić serial –

taki amerykański, z prawdziwego zdarzenia. Wszystko jest możliwe – może to kwestia paru lat.

Chyba spodobała wam się ta branża...

Bartek: – Nie sama branża, ale sposób na opowiadanie historii.

Tomek: – Zasięg. Byliśmy przyzwyczajeni, że dotrzemy maksymalnie do 6 tysięcy osób. Teraz będzie to znacznie więcej osób.

Bartek: – Komiks to trochę film dla ubogich. Nie potrzebuje oświetleniowca, scenografa, wózkarzy i kamer. Autor robi wszystko sam. Ma to urok po przejściu na drugą stronę, czyli pracę nad filmem. Dla mnie było to spełnienie marzeń. I fajna zabawa.

Czegoś życzyć komiksiarzom?

Bartek: – My jesteśmy specyficznymi komiksiarzami. Chyba czasu... O, potrzebuję opiekunki do dziecka z prawem jazdy! Jak ktoś zna kogoś takiego, niech się do mnie zgłosi. W ten sposób zaoszczędziłbym 2–3 godziny z każdej doby. Na razie oszczędzam je na spaniu...

Tomek: – A mi możesz życzyć Cywilizacji VI. W grudniu premiera. Wmawiam sobie, że poczekam na przecenę, ale nie ma szans – muszę w nią zagrać tak szybko, jak to tylko możliwe.

Więcej przeczytasz w serwisie www.facet.interia.pl.

6 FESTIWALI MUZYCZNYCH W NAJBARDZIEJ ORYGINALNYCH MIEJSCACH

Festiwale organizuje się też m.in. na Wielkim Murze Chińskim / ©123RF/PICSEL

Na terenie industrialnego muzeum, w ruinach zamku, na luksusowym jachcie, na szczycie góry i na murze chińskim – organizatorom festiwali muzycznych nie brakuje pomysłów, by dostarczyć publiczności wyjątkowych wrażeń. Polacy również mogą pochwalić się kreatywnością.

Tego lata polskie gwiazdy zagrają na najwyżej położonej scenie – 1123 m n.p.m.

Wakacje to tradycyjnie czas największych festiwali. Muzyczne widowiska stały się formą spędzania urlopu alternatywną dla tradycyjnych wyjazdów turystycznych. Konkurencja jest duża, dlatego coraz bardziej liczy się nie tylko, kto zagra, ale także gdzie. Przedstawiamy listę 6 najbardziej oryginalnych festiwali muzycznych świata, które warto odwiedzić nie tylko ze względu na muzykę.

6. Holy Ship! – w muzyczny rejs z Miami na Bahamy

Organizatorzy tego wyjątkowego wydarzenia oferują uczestnikom 4–dniowy pobyt na luksusowym statku pasażerskim, który wypływa z portu Miami na Florydzie i płynie w kierunku wysp Bahama. Na pokładzie, na kilku scenach muzycznych rozbrzmiewają rytmy elektroniczne grane przez światowej sławy muzyków i DJ-ów. Pasażerowie mogą liczyć również na całodniową imprezę taneczną na jednej z prywatnych wysp archipelagu. Bilety na najbliższą wyprawę zostały już wyprzedane, ale organizatorzy zapowiadają, że w kolejnych latach również planują muzyczny rejs.

5. Melt! – huczne widowisko w muzeum

Najbardziej niezwykłą cechą tego niemieckiego festiwalu jest jego lokalizacja. Melt! Festival zorganizowany jest na terenie plenerowego industrialnego muzeum, w którym do dziś stoją gigantyczne konstrukcje

i olbrzymie maszyny. W surowym klimacie, który może przypominać opuszczoną i zapomnianą fabrykę, przez trzy dni króluje przede wszystkim muzyka elektroniczna. Tegoroczna edycja zaczyna się już w połowie lipca.

4. Electric Castle – muzyczna uczta w historycznym zamku

Rumuński festiwal Electric Castle odbywa się pośród ruin barokowego zamku, zniszczonego podczas II wojny światowej – Bánffy Castle. W ciągu czterech dni koncertów uczestnicy mają okazję posłuchać niesamowitych brzmień w wyjątkowo baśniowej scenerii i z dreszczykiem emocji. Część dochodów ze sprzedaży biletów przeznaczana jest na renowacje tego XIV–wiecznego zamku.

3. Hej Fest – koncerty na wysokości 1123 m n.p.m.

Tego lata możliwe będzie słuchanie muzyki na żywo w miejscu z najlepszym widokiem na Tatry – na Gubałówce w Zakopanem. Specjalnie zbudowana scena powstała na wysokości aż 1123 m n.p.m. i jest najwyżej położoną sceną w Polsce, w naszej części Europy, a być może na świecie. W ciągu 10 weekendów największe gwiazdy polskiej sceny muzycznej zagrają 18 koncertów. Ich uczestnicy na teren festiwalu wjadą kultową kolejką PKL.

2. Into the Valley – scena we wnętrzu kamieniołomu

Szwedzki Festiwal Into the Valley organizowany jest dopiero od 2015 r., a już zdążył zyskać ogromną popularność. Cztery sceny zbudowano na środku starego kamieniołomu wapienia, który od lat nieoficjalnie służył jako plenerowy amfiteatr. Organizowano tu liczne występy artystyczne, wystawiano opery. W tym roku na dwudniowym festiwalu rozbrzmiewać będą takie gatunki muzyczne jak: house, techno, disco, pop, czy elektronika.

1. Yin Yang Music Festival – festiwal na murze chińskim

YYMF odbywa się na jednej z najbardziej rozpoznawalnych atrakcji świata – Wielkim Murze Chińskim. Choć to podobno nieprawda, że jest to jedyna budowla widziana gołym okiem z kosmosu, to i tak koncert w tym miejscu musi robić niesamowite wrażenie. We wrześniu rozbrzmi tam muzyka elektroniczna, deep house i techno. Z tej okazji mur został specjalnie przygotowany. YYMF jest imprezą dla wybrańców – ze względów bezpieczeństwa, w jednym dniu koncertu wziąć może udział tylko 2 tys. uczestników. Na nocne koncerty wpuszczonych zostanie 800 osób.

Więcej przeczytasz w serwisie www.muzyka.interia.pl.

WYCIECZKA W TATRY. CO KAŻDY TURYSTA POWINIEN WIEDZIEĆ

Dariusz Jaroń

Turyści na Kasprowym Wierchu / fot. Piotr Korczak REPORTER East News

Piękno Tatr przyciąga każdego lata tysiące turystów. Z redaktorami branżowego portalu naTatry.pl przygotowaliśmy zestawienie podstawowych informacji, które ułatwią wybór odpowiedniego

szlaku, staranne przygotowanie do wycieczki i podpowiedzą, jak zachować się w górach, gdy zawiedzie nas pogoda lub zdrowy rozsądek.

Dariusz Jaroń, Interia: Jak odpowiednio wybrać cel wycieczki w Tatry?

Marcin Ignatowicz i Justyna Duszyńska, naTatry.pl: – Przy wyborze tatrzańskiej wyprawy musimy przede wszystkim mieć świadomość naszych możliwości, zwłaszcza, jeśli dotychczas nie wędrowaliśmy po wysokich górach. Trasę dobierajmy rozważnie, pod kątem naszej kondycji i wytrzymałości – na początek lepiej wybierać szlaki łatwe do przejścia i mało wymagające, stopniowo podnosząc sobie „poprzeczkę". Pamiętajmy, że górskie wędrówki znacznie różnią się od zwykłych spacerów czy nawet od biegania po płaskiej nawierzchni.

Przykład łatwiejszej wycieczki dla początkujących?

– Chociażby Nosal, Wielki Kopieniec czy Dolina Kościeliska.

Przestudiowaliśmy przewodniki, mamy odpowiedni dla naszych możliwości szlak. Jak przygotować się do wyjścia w góry?

– Wyspać się i nigdy nie wychodzić „na pusty żołądek". Przed wyjściem z kwatery powinniśmy sprawdzić informacje o warunkach pogodowych, jakie panują w danym czasie oraz jakie prognozy zapowiedziane są na godziny późniejsze. Ważne jest również odpowiednie zaplanowanie wycieczki, warto dzień przed wędrówką przygotować sobie plan zwiedzania oraz szlaki, które chcemy przemierzyć.

– Przed wyjazdem w góry musimy zaopatrzyć się w odpowiednie buty. Jeśli kupujemy nowe, trzeba je najpierw trochę rozchodzić, żeby uniknąć bolesnych otarć i pęcherzy. Pamiętajmy też o pozornie mniej istotnych

rzeczach, takich jak wygodne ubranie, które nie będzie krępowało naszych ruchów, a także nakrycie głowy (czapka, kapelusz, chusta), zabierzmy też kurtkę przeciwdeszczową, ponieważ pogoda w Tatrach potrafi zmienić się w ciągu kilku minut.

Co koniecznie musimy mieć ze sobą w plecaku?

– Woda, woda i jeszcze raz woda! To bardzo ważne, żeby na szlaku uzupełniać płyny i, zwłaszcza latem, nie dopuścić do odwodnienia. Kolejna rzecz to suchy prowiant, który doda nam energii. Wybierajmy produkty, które pod wpływem ciepła się nie zepsują i nie rozpuszczą. W naszym plecaku powinny znaleźć się też chusteczki, krem z wysokim filtrem oraz plastry. Wychodząc w góry pamiętajmy, że pogoda szybko się zmienia, więc schowajmy do plecaka kurtkę lub bluzę.
– No i rzecz najważniejsza – dobry przewodnik z mapą i naładowany telefon z wpisanym numerem alarmowym TOPR (601 100 300 lub 985).

Jakie błędy najczęściej popełniają początkujący turyści?

– Turyści często zapominają o zdrowym rozsądku. Wybierają zbyt trudne szlaki lub wychodzą w wyższe partie górskie w nieodpowiednich butach i nieodpowiednim stroju. Często czują się zbyt pewnie i ryzykują, przez co TOPR ma bardzo dużo pracy. Kolejnym błędem turystów jest brak świadomości i podstawowej wiedzy na temat wybranych przez nich szlaków.
– Następna rzecz to godzina wyjścia w góry, pamiętajmy, że taka wędrówka może nam zająć nawet cały dzień. Kluczową sprawą jest powrót ze szlaku przed zmierzchem. Jednak największym błędem jest to, że turyści zapominają, że mają do czynienia z potęgą natury, której nie jesteśmy w stanie okiełznać i sobie podporządkować.

Kiedy w górach robi się niebezpiecznie?

– Największym niebezpieczeństwem są burze i dynamiczne zmiany pogody. W jednej chwili mogą przyjść ciemne chmury i spaść ulewny deszcz. Jeśli idąc na szczyt słyszymy grzmoty, lepiej zawrócić w niższe partie, a jeśli już na szczycie jesteśmy, to czym prędzej z niego zejdźmy. Deszcz sam w sobie również jest niebezpieczny – kamienie stają się śliskie, szlaki błotniste i grząskie, więc łatwo się poślizgnąć, stracić równowagę i się po prostu przewrócić, a w najgorszym wypadku spaść w przepaść.

Odpuszczamy zatem zdobycie szczytu, gdy zmienia się pogoda. Kiedy jeszcze?

– Oczywiście nie tylko przy pogorszeniu pogody, ale również – a może przede wszystkim, kiedy czujemy, że przeceniliśmy swoje możliwości i szlak na szczyt staje się dla nas zbyt trudny. Dotyczy to zwłaszcza osób, którym towarzyszy dziwne odczucie lęku podczas ekspozycji czy zawroty głowy – nie każdy ma możliwość zorientowania się czy ma lęk wysokości lub przestrzeni przed przybyciem do tatrzańskiego królestwa.

– Jak to mówią – góry stały i stać będą – nie zdobywajmy szczytu za wszelką cenę tylko dlatego, że tak zakłada plan wycieczki czy ktoś nam kazał, albo z obawy, że będą nas nazywać „mięczakami” lub „tchórzami”. Góry to nie jest dobre miejsce na nadmierne ryzykowanie.

Załóżmy, że źle się czujemy na szlaku lub doszło do wypadku. Kiedy wzywać pomoc?

– Przede wszystkim należy zachować spokój i opanowanie. Starajmy się ocenić daną sytuację i reagujmy odpowiednio do naszej wiedzy i umiejętności. Jeżeli widzimy osobę, która potrzebuje pomocy, to podejdźmy, zapytajmy co się stało i jeżeli potrafimy, to oczywiście udzielmy jej pomocy. Kiedy nie wiemy co się stało lub nie potrafimy

pomóc, wzywamy TOPR, musimy jednak dokładnie opisać wydarzenie i wskazać orientacyjny punkt, do którego ratownicy mają się udać.

– Jeżeli na szlaku zastanie nas burza i zejście ze szlaku staje się niemożliwe, pamiętajmy o tym by: unikać otwartych przestrzeni; nie stać przy pojedynczym drzewie; nie biec, a raczej spokojnie iść, a w sytuacji ekstremalnej zatrzymać się.

– W wyższych partiach Tatr w trakcie wyładowań elektrycznych zalecamy ponadto: wystrzegać się kontaktu z wszelkiego rodzaju metalowymi przedmiotami (głównie łańcuchy, drabinki, klamry, poręcze); spokojnie usiąść na karimacie lub plecaku (unikając kontaktu z podłożem) i podkurczyć nogi; rozproszyć grupy turystów (nie można siadać koło siebie), a także odsunąć się na bezpieczną (ponad 2 m) odległość od skał.

Niebezpieczne może być także spotkanie z niedźwiedziem. Jak zareagować, kiedy zobaczymy go w dalszej lub bliższej odległości?

– Warto wiedzieć, że niedźwiedzia dość skutecznie odstrasza hałas, dlatego podczas wypraw najlepiej po prostu rozmawiać stosunkowo głośno z kompanami. Radzimy także głęboko schować i zabezpieczyć folią lub zamknąć w szczelnym pojemniku jedzenie.

– Jeżeli jednak zwierzę stanie nam na drodze i nie będzie chciało odejść (najczęściej ucieka z powodu lęku przed człowiekiem), zaleca się: nie panikować; pod żadnym pozorem nie karmić, gdyż na ogół chce więcej pożywienia niż mamy ze sobą; nie zbliżać się do drapieżnika; wolno, cicho odejść, ponieważ w większości przypadków niedźwiedzie nie są agresywne.

A jak nie uda się uniknąć spotkania z niedźwiedziem?

– W sytuacji wyjątkowej, gdy spokojne wycofanie się jest niemożliwe, należy: unikać kontaktu wzrokowego ze zwierzęciem; nie robić żadnych

gwałtownych ruchów; nie uciekać, gdyż niedźwiedź potraktuje nas wtedy jako zdobycz i z łatwością dogoni i złapie; jeśli przypatruje się przez dłuższą chwilę, położyć się na ziemi, podkurczyć nogi, osłonić rękami szyję i twarz – najprawdopodobniej odejdzie.

Zatrzymaliśmy się przy niedźwiedziach, ale to nie zwierzęta, tylko ludzie powodują najwięcej szkód w górach. O jakich podstawowych zasadach savoir vivre w Tatrach powinniśmy pamiętać?

– Wybierając się w góry musimy pamiętać, że jesteśmy tam tylko gośćmi, szanujmy więc przyrodę i przebywające tam zwierzęta.
– Wchodząc do Tatrzańskiego Parku Narodowego należy zachować spokój i porządek. Nie śmiecimy, nie krzyczymy i przede wszystkim trzymamy się wyznaczonych szlaków. Jak na drodze, tak i na szlaku panuję ruch prawostronny. Jeśli zaś znajdziemy się na odcinku, który jest ubezpieczony łańcuchem to pamiętajmy, iż z jednego odcinka łańcucha korzysta tylko jedna osoba. Pamiętajmy też o jakże miłej górskiej tradycji, czyli o pozdrowieniu mijającego nas turysty.

W ostatnich dniach w sieci zawrzało od zdjęcia słoneczka namalowanego farbą na Giewoncie. Jak reagować na podobne przejawy głupoty?

– Niestety przykro słyszeć o takich incydentach, gdzie osoby zamiast podziwiać piękno przyrody, zwyczajnie ją niszczą. Nie jest to już pierwszy taki przypadek, rok temu wandale oszpecili skały na Przełęczy Zawrat i w drodze na Kozi Wierch. Jak reagować? Trudno przypilnować wszystkich szlaków i trudno radzić sobie z głupotą niektórych ludzi. Naszym zdaniem TPN powinien zająć się usuwaniem takich bohomazów, niestety póki co efektów nie widać.

Turyści wybierający się w Tatry upodobali sobie Giewont, Kasprowy Wierch czy Morskie Oko. Miejsca piękne, ale w sezonie zatłoczone jak Krupówki. Jakie są wasze ulubione szlaki, z dala od zatłoczonych ścieżek?

– W letnim sezonie trudno o spokój na tatrzańskich szlakach, ale są na to sposoby. Choćby wczesne wyjście, wtedy nawet na Giewoncie możemy znaleźć chwilę spokoju. Jednak nie warto ograniczać się tylko do tych najpopularniejszych szlaków. W Tatrach można znaleźć mnóstwo spokojnych i pięknych zakątków.

– Bardzo lubimy wędrować na Czerwone Wierchy przez Dolinę Tomanową od schroniska Ornak, to fajna i przyjemna trasa, która jest często niedoceniania przez turystów. Warto też zajrzeć nad Smreczyński Staw, który leży trochę w odosobnieniu i nie gości wielu wędrowców.

– Spokój można również odnaleźć w Tatrach Wysokich, choćby dojście na Kozią Przełęcz, zarówno od strony Hali Gąsienicowej czy Doliny Pięciu Stawów lub wejście Żlebem Kulczyńskiego. Te szlaki są jednak bardziej wymagające, dlatego nie polecamy ich osobom z małym doświadczeniem.

Więcej przeczytasz w serwisie www.fakty.interia.pl.

SKĄD NAZWA PIEROGI RUSKIE I FASOLKA PO BRETOŃSKU?

Sylwia Cisowska

Skąd wzięła się nazwa pierogów ruskich? Przeczytaj! /©123RF/PICSEL

Polski stół może wyglądać naprawdę światowo – na przyjęciach bryluje ryba po grecku, wraz z fasolką po bretońsku i plackami po węgiersku. A to tylko początek tego kosmopolitycznego korowodu. Tylko czy naprawdę jest to takie międzynarodowe towarzystwo?

Jeżeli lubicie wyzwania, spróbujcie podczas podróży po Japonii zjeść dobrze znanego wszystkim Polakom śledzia po japońsku. Równie karkołomnym zadaniem może okazać się zamówienie w greckiej tawernie słynnej ryby po grecku. Mimo, że nazwy tych potraw sugerują nam, że pochodzą one z odległych zakątków świata, bardzo często się zdarza, że w tych zakątkach wcale o nich nie słyszano. Skąd więc w naszym menu takie pozycje? Spróbujmy uchylić rąbka tajemnicy.

Ryba udająca Greka

Delikatna ryba w panierce, ukryta pod grubą warstwą ugotowanych do miękkości warzyw, doprawionych koncentratem pomidorowym. Każdy Polak natychmiast rozpozna w tym opisie rybę po grecku. Jednak czy jest to coś, co zaserwowano by nam u stóp Partenonu? Nie ma się co łudzić – żaden Grek nie ugości nas taką potrawą, co więcej najpewniej byłby zszokowany, że nad Wisłą takie danie jest kojarzone z jego ojczyzną.

Skąd więc ta nazwa? Zdania w tej kwestii są podzielone, jednak najczęściej uznaje się, że danie to powstało w wyniku spolszczenia oryginalnego, greckiego przepisu. Faktycznie, w tamtejszej kuchni możemy spotkać owoce morza serwowane w pomidorowo-warzywnym sosie, jednak ani w smaku, ani w formie nie przypominają znanej nam ryby po grecku. Tak więc możemy mówić jedynie o bardzo delikatnej inspiracji, która wprowadziła do polskiej kuchni nieco śródziemnomorskiego kolorytu.

Wcale nie ruskie pierogi

Kolejną kulinarno-lingwistyczną zagwozdkę stanowią ruskie pierogi, które większość z nas zapewne utożsamia z terenami dzisiejszej Rosji. Jak

więc wytłumaczyć fakt, że nasi wschodni sąsiedzi pierogi wypełnione farszem z twarogu, ziemniaków i cebuli nazywają pierogami polskimi? Otóż, naprawdę jest to typowo polska potrawa, przy czym nie mówimy tutaj o Polsce w dzisiejszych granicach. Potrawa ta pochodzi z terenów Rusi Czerwonej, czyli Zachodniej Ukrainy, należącej przed II wojną światową do Polski. To właśnie od niej, a nie od dzisiejszej Rosji, wywodzi się przymiotnik „ruski".

Francuski przysmak?

Równie wielu problemów nastręcza fasolka po bretońsku. Faktem jest, że francuska Bretania ma nam bardzo wiele zaoferowania, jednak jedną z tych rzeczy nie jest doskonale znana wielu Polakom fasolka po bretońsku. Bardziej niż francuskie przysmaki, przypomina ona brytyjskie „baked beans".

Czyżby nazwa tej potrawy była jedynie przejęzyczeniem? Wiele na to wskazuje, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę fakt, że dawniej mieszkańców Zjednoczonego Królestwa nazywano Britonami. W toku historii zapomniano o tym określeniu, podobnie jak i o pochodzeniu fasolki po britońsku, która w wyniku tego procesu stała się swojsko brzmiącą fasolką po bretońsku. Najpewniej nic już tego nie zmieni, a Polacy odwiedzający Bretanię wciąż będą poszukiwali swojej ulubionej potrawy.

Dania ze znakiem zapytania

Kucharzom oraz językoznawcom niemniej problemów sprawiają placki po węgiersku oraz pączki hiszpańskie. Zdarza się, że te drugie zakupimy również jako pączki wiedeńskie. Ale skąd powiązanie ze słoneczną

Hiszpanią? Studiując recepturę, niemal natychmiast nasuwa nam się skojarzenie z innymi przysmakiem z tamtego regionu – churros.

Prawdopodobnie właśnie w tym daniu powinniśmy upatrywać korzeni tzw. pączków hiszpańskich. A jak się sprawa ma ze słynnymi plackami węgierskimi, których na Węgrzech raczej nie skosztujemy? W tym wypadku, za nieco mylną nazwę, również odpowiadają nasze stereotypowe skojarzenia. W końcu czy znamy bardziej węgierską potrawę niż gulasz? W takim razie placki polane tym sosem, również muszą być węgierskie. Nawet jeśli wymyślono je daleko od Balatonu.

Łyk wielkiego świata

Chociaż poddani Elżbiety II bardzo upodobali sobie bawarkę, nie są autorami przepisu na ten napój. Wbrew pozorom nie wymyślili go również nasi zachodni sąsiedzi. Jak wiele receptur, ta także powstała w ojczyźnie współczesnej gastronomii, czyli we Francji, a sprawcą całego zamieszania jest pewien kucharz, który postanowił przygotować ten napój na cześć bawarskiego księcia, odwiedzającego Paryż.

W przypadku kawy po turecku, wiele osób uznaje, że spotkał ją podobny los, co opisywanego wcześniej śledzia po japońsku – światowa nazwa osładzała nieco siermiężną rzeczywistość. Tradycyjnie kawę w Turcji przygotowuje się w mosiężnych kawiarkach, wstawianych do ognia lub bardzo gorącego piasku. Przygotowany w ten sposób napar w niczym nie przypomina kawy parzonej bezpośrednio w szklance, którą podawano w każdym peerelowskim lokalu.

Sushi po polsku

W czasach PRL-u, jedną z najpopularniejszych przystawek był światowo brzmiący śledź po japońsku. Cóż to takiego? Najczęściej był to filet śledziowy obwinięty dookoła połówki jajka ugotowanego na twardo. Podawano go na sałatce jarzynowej, przyozdobionego cebulką, majonezem oraz groszkiem konserwowym. Wykwintnie, czyż nie?

Mimo wszystko, trudno sobie wyobrazić, aby którykolwiek z japońskich szefów kuchni zaserwował swym gościom marynowane śledzie zalane sosem majonezowym. Skąd więc ta myląca nazwa? Najpewniej nieszczęsnego śledzia spotkał podobny los, co kawę po turecku i sałatkę szwedzką. Była to ciekawa próba ożywienia szarej, socjalistycznej rzeczywistości poprzez wprowadzenie do niej egzotycznego kolorytu, nawet jeśli miałby on zawierać się wyłącznie w nazwie dania. Z jakim skutkiem? To już zupełnie inna historia...

Więcej przeczytasz w serwisie www.smaker.pl.

LETNIE SPECJAŁY, KTÓRE POMOGĄ ZRZUCIĆ ZBĘDNE KILOGRAMY

Magdalena Janczura

Zrzuć kilogramy z sezonowymi produktami /©123RF/PICSEL

Nie dopinasz spodni z zeszłego roku? A może chcesz lepiej się czuć na plaży? Niektórym wydaje się, że w lecie już za późno na odchudzanie. Nic bardziej mylnego. Dodatkowe kilogramy możesz zrzucić również

w wakacje. Wystarczy, że codziennie będziesz sięgać po sezonowe warzywa i owoce.

Lemoniada ogórkowa z cytryną

Idealna alternatywa dla gazowanych napojów czy wysoko słodzonych soków. Prawie nie zawiera kalorii, jest tania, a do tego świetnie chłodzi nawet w największe upały. Wystarczy pokroić jednego ogórka w plastry, dodać kilka listków mięty i zalać to wszystko litrem niegazowanej wody. Do takiej lemoniady śmiało można dodać również plasterki cytryny oraz dwie łyżki miodu.

W lecie niezastąpiony

Chłodniki to zupy, których bazą są przede wszystkim warzywa oraz nabiał. Świetnie więc wpisują się w diety odchudzające i oczyszczające organizm. Zamiast ciepłej zupy przygotowanej na mięsnym wywarze, lepiej skusić się na lekkie i chłodzące płyny. Ich przygotowanie zajmuje kilka chwil i nie wymaga gotowania. Jednym z najprostszych przepisów jest orzeźwiający chłodnik litewski z botwinki i kefiru, z koperkiem, szczypiorkiem, rzodkiewką i ogórkiem.

Spaghetti bez makaronu

Makarony tuczą i powodują uczucie ciężkości w żołądku. Na dodatek szybko stajemy się po nich głodni, więc znów sięgamy po coś do jedzenia. Od czasu do czasu oczywiście nikomu nie zaszkodzą, ale co jeśli uwielbiamy makaronowe potrawy? Wtedy warto skusić na się na spaghetti z cukinii. Do wykonania potrzebujemy wyszorowanej cukinii

i specjalnej obieraczki typu Julienne, która pokroi nasze warzywo w bardzo cienkie paseczki. Oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, żeby zrobić to zwyczajnym nożem. Pokrojoną cukinię możemy podsmażyć lub zjeść na surowo. Całość polewamy pomidorowym sosem.

Letnie przekąski

Sezon warzywno-owocowy w pełni, dlatego grzechem byłoby go nie wykorzystać. Zamiast kanapki skuś się na lekką sałatkę. Najlepiej sprawdzi się tutaj zielona sałata (lodowa, masłowa lub karbowana). Ich liście idealnie nadają się do niskokalorycznych przekąsek, ponieważ głównie zawierają wodę i niezbędne witaminy. Do tego dorzuć kilka malinowych pomidorów, rzodkiewkę i inne ulubione warzywa. Całość możesz polać oliwą z odrobiną octu. Nie zapomnij obficie posypać sałatki koperkiem lub szczypiorkiem.

Desery

Mleczne koktajle to bardzo dobry pomysł na słodki deser w ciągu dnia, pod warunkiem, że zostały skomponowane z niskokalorycznych produktów. Dlatego m.in. zamiast cukru sięgamy po stewię lub miód. Takie napoje sycą, gaszą pragnienie, dostarczają cennych składników odżywczych i są proste w przygotowaniu.

Więcej przeczytasz w serwisie www.styl.pl.

CO JEŚĆ, BY WYGLĄDAĆ MŁODZIEJ?

Sylwia Cisowska

Orzechy są nie tylko sycącą, ale również bardzo odżywczą przekąską / ©123RF/PICSEL

Co zrobić, by jak najdłużej wyglądać młodo – z pewnością wielu z was zadaje sobie to pytanie. Okazuje się, że nie musimy korzystać z usług dobrej wróżki ani chirurga plastycznego. Wystarczy, że włączymy do swojej diety kilka produktów.

Młody wygląd, gładka i jędrna skóra pozbawiona zmarszczek – to marzenie wielu osób. Czy jest możliwe do zrealizowania? Czas płynie nieubłaganie, jednak dzięki odpowiedniej diecie możemy nieco zmniejszyć oznaki jego przemijania. Naukowcy już od bardzo dawna przekonują nas, że to co jemy ma równie duży wpływ na nasz wygląd, co predyspozycje genetyczne. Warto więc poświęcić trochę czasu na dokładne przestudiowanie składu zjadanych przez nas posiłków. Nawet jeśli nie sprawią, że wszystkie nasze zmarszczki znikną, to z pewnością pozytywnie wpłyną na to, jak się czujemy.

Oto produkty, które pomagają nam na dłużej zachować młody i świeży wygląd.

1. Płatki owsiane

Bywa, że nie doceniamy ich zbawiennego wpływu na nasze zdrowie. Tymczasem ten bardzo tani produkt może zapewnić nam zdrowe i długie życie. Dzięki płatkom owsianym możemy obniżyć poziom złego cholesterolu we krwi oraz przyśpieszyć i usprawnić pracę układu trawiennego. Podobnie jak wiele produktów na tej liście, płatki zawierają w sobie sporą dawkę witaminy E, która spowalnia procesy starzenia się komórek. Dodatkowo znajdziemy w nich również odżywcze aminokwasy, wspomagające walkę z uszkodzeniami skóry. Bez większych problemów ani nakładów finansowych, w zaciszu własnej kuchni przygotujemy maseczkę z płatków owsianych, która momentalnie poprawi kondycję naszej skóry.

2. Awokado

Jeśli ktokolwiek ostrzegał was przed jedzeniem awokado, wiedzcie, że był w błędzie. Wiele osób twierdzi, że ze względu na obecne w nim tłuszcze, jest to składnik niepożądany w naszej diecie. Tymczasem spożywanie tego owocu może przynieść nam same korzyści. Owszem, awokado zawiera w sobie tłuszcze, jednak są to zdrowe tłuszcze nienasycone, które między innymi wygładzają skórę i pomagają poradzić sobie ze zniszczeniami spowodowanymi np. przez promieniowanie słoneczne.

Awokado to także potężna dawka niacyny, którą dodaje się do wielu drogich kosmetyków. Witamina ta doskonale nawilża cerę i zwalcza trądzik, a jej niedobór powoduje bardzo bolesne zmiany skórne.

3. Orzechy

Podobnie jak awokado, także i orzechy zawierają w sobie potężną dawkę zdrowych kwasów tłuszczowych. To właśnie one sprawiają, że orzechy są nie tylko sycącą, ale również bardzo odżywczą, przekąską. Kwasy tłuszczowe omega-3 mają niezwykle pozytywny wpływ na funkcjonowanie naszego organizmu, a także sprawiają, że wyglądamy znacznie młodziej. Substancje te „od wewnątrz” wypełniają zmarszczki, wygładzają skórę oraz sprawiają, że jest ona zdecydowanie lepiej nawilżona.

Ponadto niektóre rodzaje orzechów (np. migdały) pomagają odprowadzić nadmiar wody z organizmu, dzięki czemu pozwalają uniknąć opuchlizn.

4. Siemię lniane

Jeśli do tej pory nie przekonaliście się o wyjątkowych właściwościach siemienia lnianego, najwyższy czas to zmienić. Jest to doskonała (a przede wszystkim znacznie tańsza) alternatywa dla modnych obecnie nasion chia. Te niepozorne ziarenka stanowią cenne źródło kwasów tłuszczowych oraz wielu substancji odżywczych. Co ciekawe, możemy stosować je zarówno wewnętrznie, jak i zewnętrznie.

Przygotowanie odżywczej maseczki z siemienia lnianego nie stanowi żadnego problemu, a o jej wyjątkowym wpływie na skórę będziemy mogli się przekonać już po kwadransie.

5. Grejpfrut

Pomarańcze pojawiają się w naszej diecie znacznie częściej niż grejpfruty, jednak to te drugie mogą zagwarantować nam naprawdę młody wygląd. Owoce te są prawdziwą skarbnicą witamin, które odpowiadają za wygląd skóry.

Znajdziemy w nich między innymi witaminę E, która stymuluje organizm do walki z wolnymi rodnikami, przyśpieszającymi procesy starzenia się komórek. Ponadto w grejpfrutach znajdziemy witaminę C. Większość z nas kojarzy ją jako skuteczny środek na przeziębienie, jednak odpowiada ona również napięcie i elastyczność skóry.

6. Marchew

Co jest sprzymierzeńcem zdrowo wyglądającej skóry? Beta-karoten. A gdzie znajdziemy go najwięcej? Oczywiście w marchewce! Substancja ta nadaje naszej skórze młodzieńczy wygląd oraz zdrowy koloryt. Pobudza też produkcję włókien kolagenowych, których ubytek przyczynia się do powstawania zmarszczek.

Co więcej, beta-karoten doskonale zabezpiecza nas przed działaniem wolnych rodników oraz promieni słonecznych. Warto wiedzieć, że przeciwdziała on również nowotworom oraz chorobom serca i chociażby z tego względu warto uwzględnić w swojej diecie produkty, które go zawierają.

Więcej przeczytasz w serwisie www.smaker.pl.

JAKIE ROŚLINY POMOGĄ W WALCE Z KLESZCZAMI?

Barbara Machalska-Cyran

Sprawdź naturalne sposoby odstraszania kleszczy /©123RF/PICSEL

Sezon największej aktywności kleszczy przypada na kwiecień i czerwiec oraz wrzesień i październik. Aby przynieść go je domu, wcale nie musimy udawać się do lasu czy parku. Kleszcze są wszędzie, zarówno na wsi, jak i w dużych miastach. Nie widzą nas, ale

doskonale wyczuwają zapach. Nie gryzą, lecz żywią się naszą krwią, a tym samym przenoszą śmiertelne choroby.

Prawdy i mity

Kleszcze zaczynają żerować w marcu lub kwietniu. Są aktywne do października, lub listopada gdy temperatury spadną do 5–7°C. Nie należy więc usypiać swojej czujności i uważać, ponieważ kleszcze przenoszą wiele poważnych chorób. Kleszcze najaktywniejsze są rano między od 8–9 do 11–12 i od godziny 16–17 do zmroku.

Dorosłe kleszcze żyją na chwastach i krzewach do 1,5 m wysokości, larwy na trawach i niższych roślinach. Nie jest prawdą, że kleszcze zeskakują z drzew na przechodniów. Nawet jeśli czekają na żer na końcach liści (po ich wewnętrznej stronie) lub na gałęziach, robią to na wysokości nie przekraczającej 1,5 metra.

Jeśli spędzamy dużo czasu na świeżym powietrzu, czy to w pracy, czy na aktywnym wypoczynku, mamy działkę za miastem, chodzimy z psem na spacery ryzyko złapania kleszcza rośnie. Warto też pamiętać, że są regiony Polski, w których oszacowano mniej lub więcej zachorowań na choroby przenoszone przez te pasożyty jak np. kleszczowe zapalenie mózgu (KZM).

I tak Warmia i Mazury, Suwalszczyzna i Mazowsze są rejonami gdzie odnotowano najwięcej przypadków zachorowań na KZM w latach 2001–2010 (powyżej 100 przypadków). W Wielkopolsce, województwach pomorskim, zachodniopomorskim, kujawsko-pomorskim i lubuskim tych przypadków było poniżej 10. Warto kierować się tymi danymi, aby oszacować ryzyko, na jakie jesteśmy narażeni.

Czym grozi ugryzienie kleszcza?

Kleszcze potrzebują wyssać krew zwierzęcia lub człowieka, aby przejść kolejne fazy rozwoju i osiągnąć dojrzałość. Ukąszenie kleszcza jest bezbolesne, bowiem ślina pasożyta zawiera substancje znieczulające. W ten sposób kleszcz może żerować kilka dni, wtedy może dojść do zarażenia chorobami zakaźnymi. Kleszcze przenoszą szereg różnorodnych chorób. Najczęściej są to: borelioza, kleszczowe zapalenie mózgowe, anaplazmoza, babeszjoza, riketsjoza.

Szacuje się, że nawet co trzeci kleszcz może być nosicielem boreliozy lub kleszczowego zapalenia mózgu. Ukąszenie kleszcza nie zawsze jest tożsame z chorobą, ale nie wolno go bagatelizować. Borelioza to groźna choroba bakteryjna, atakująca wiele narządów. Ciężko ją rozpoznać i leczyć. KZM z reguły przebiega łagodnie, nie mniej u co dziesiątego chorego może wystąpić poważne zagrożenie zdrowia lub życia.

Borelioza jest dziś częstym schorzeniem, dlatego warto wyodrębnić stany, które pomogą nam ją rozpoznać: uczucie zmęczenia, problemy ze snem, zmęczenie, bóle mięśni, bóle głowy, szumy uszne, zaburzenia wzroku, pieczenie oczu, arytmia serca, depresja, zaburzenia neurologiczne.

Jak usunąć problem?

Nie wolno smarować kleszcza tłuszczem. Olej, masło, krem czy wazelina podobnie jak „wykręcanie kleszcza” spowoduje, że wprowadzi on do organizmu ukąszonego więcej substancji zakaźnych. Ważne jest, żeby usunąć kleszcza jak najszybciej. Oderwanie kleszcza pęsetą nie jest poważnym zabiegiem. Należy pamiętać, aby chwycić go jak najbliżej skóry i zdecydowanym ruchem oderwać (bez obracania pasożyta).

Naturalne sposoby odstraszania

Istotne jest, aby zapobiegać ugryzieniom kleszczy. Sposób jest łatwy, naturalny i bardzo skuteczny, a dodatkowo możemy przygotować go samodzielnie.

Płyn odstraszający kleszcze

- 1 łyżka miąższu aloesu
- 20 kropli olejku różanego
- 2 łyżki oleju roślinnego
- 20 kropli olejku lawendowego

Wszystkie powyższe składniki wlewamy do buteleczki lub słoiczka i energicznie potrząsamy. Przygotowanym olejkiem smarujemy odsłonięte części naszego ciała.

Nie zapominajmy również o czosnku, to także świetny sposób na kleszcze. Kiedy zjemy czosnek, nasza skóra przez dłuższy czas wydziela jego zapach. Pomimo że dla nas aromat jest niewyczuwalny, kleszcze czują go i bardzo nie lubią.

Sposób na kleszcze w ogrodzie

W sklepach możemy kupić produkty chemiczne na kleszcze do ogrodu, ale pamiętajmy, że niszczą one również pożyteczne owady jak pająki, gąsienice, muchy, mrówki i inne. Warto wiedzieć, że istnieją rośliny, które skutecznie odstraszają kleszcze.

Wrotycz – wydziela intensywny zapach podobny do kamfory, który skutecznie odstrasza kleszcze, muchy i komary. Odwar z tej rośliny jest

również popularnym środkiem na zwalczanie mszyc, mrówek czy stonki ziemniaczanej.

Tatarak – w olejku eterycznym zawiera 82 proc. azaronu. To substancja, która niszczy kleszcze i komary, przy tym jest niegroźna dla ludzi, a przede wszystkim dzieci. Z tej rośliny możemy samodzielnie zrobić odwar do opryskiwania trawnika i drzewek, albo kupić gotowy proszek.

Cheremcha zwyczajna – według badań przeprowadzonych przez rosyjskich naukowców, odwar z gałązek i kory cheremchy niszczy nimfy i dorosłe kleszcze, ale również komary i muchy.

Przepis na środek z czeremchy zabijający kleszcze:

1. Pociąć drobno gałąź czeremchy.
2. Wyłożyć pocięte gałęzie do garnka, zalać zimną wodą i zagotować. Gdy odwar zacznie wrzeć, zmniejszyć ogień i gotować 30 minut. Zdjąć z palnika i odstawić do ostygnięcia. Po ugotowaniu odwar zmieni kolor na czerwony.
3. Odwar zlać do spryskiwacza lub konewki.
4. Spryskiwać nim trawnik i krzaki w ogrodzie.
5. Z resztek odwaru można zrobić kompost.
6. Kocimiętka (*Labiatae mussinii*) – kłosy o drobnych niebieskich kwiatkach wydzielają delikatny, cytrynowy zapach, którego nie lubią zarówno kleszcze, jak i komary.

Cebula – według rosyjskich naukowców, proszek z suszonej cebuli to jedna z najskuteczniejszych sposobów na pozbycie się kleszczy.

Chrzan pospolity – wyciąg z korzeni chrzanu pospolitego nie tylko odstrasza, ale również zabija kleszcze.

Clematis – odwar z tej rośliny jest trujący dla komarów i kleszczy. Aby przygotować odwar z clematisu, świeże kwiaty zalewamy gorącą wodą (w proporcjach 1:1) i pozostawiamy na dwie godziny. Następnie przelewamy do spryskiwacza lub konewki. Odwarem spryskujemy trawnik i krzewy.

Innymi roślinami odstraszającymi kleszcze są: jaskry, piołun bylica, czosnek niedźwiedzi i lawenda.

Więcej przeczytasz w serwisie www.deccoria.pl.

ROAM-E: POLECI ZA TOBĄ WSZĘDZIE. I ZROBI CI ZDJĘCIE

Michał Ostasz

Roam-e to dron o niepozornym wyglądzie i niesamowitych możliwościach /materiały prasowe

Lubisz robić sobie selfie i w dodatku jesteś niepoprawnym gadżeciarzem? Musisz kupić sobie Roam-e – ten dron to urzeczywistnienie twoich marzeń.

Roam-e wygląda trochę jak marchewka na kiju, tyle że zamiast kija ma mały silnik śmigłowy umożliwiający gadżetowi unoszenie się w powietrzu. Tym samym staje się on najlepszym, bo w zasadzie nieograniczonym długością, selfiestickiem. Jednakże robienie nam zdjęć, to tylko jedna ze sztuczek, które potrafi ta latająca marchewka.

Dron korzysta z technologii rozpoznawania twarzy, dzięki czemu jest on w stanie wychwycić nas nawet w tłumie. Do tego może on nagrywać wideo w jakości 1080p będące panoramicznymi ujęciami, a nawet przesyłać obraz na żywo do sieci. Brzmi świetnie, prawda?

Bateria pozwala aż na 20 minut nieprzerwanej pracy – każdy kto miał do czynienia z dronami potwierdzi, że to całkiem niezły wynik. Zasięg urządzenia ma wynosić około 25 metrów. Producent nie chwali się jednak, czy Roam-e będzie korzystał z technologii Bluetooth, czy też Wi-Fi.

Roam-e to prawdziwy bajer. Gadżet ten z pewnością przykuje uwagę, chociaż trzeba powiedzieć sobie jasno, iż jest on dość drogi. Można go nabyć za 400 dolarów (ok. 1600 zł), co stanowi poważny wydatek, jednakże biorąc pod uwagę możliwości drona cena nie wydaje się być aż tak wygórowana.

Jego konstruktorzy mówią, że chcą zrewolucjonizować sposób w jaki robimy sobie selfie. Jeśli nie wyobrażacie sobie dnia bez takiego zdjęcia, to Roam-e jest czymś dla was. Reszcie pozostaje coś poważniejszego niż „marchewka”...

Więcej przeczytasz w serwisie www.facet.interia.pl.

PHOTON: POLSKI ROBOT WYRUSZYŁ NA PODBÓJ ŚWIATA

Adam Wieczorek

Robot Photon przeszedł długą drogę, aby uzyskać swój obecny wygląd /materiały prasowe

Photon to rdzennie polski wynalazek. Mały robocik podbija właśnie serwis wspierający ciekawe projekty z całego świata – Kickstarter i skutecznie promuje nasz kraj.

Photon przeznaczony jest dla dzieci w wieku od 6 do 12 lat. Sympatyczny robot pomaga w nauce logicznego myślenia, uczy dzieci programowania i zostaje ich przyjacielem.

O tym jak powstał, co potrafi i dokąd zmierza Photon opowiada jeden z jego twórców, Marcin Joka.

Adam Wieczorek: Skąd wziął się pomysł na Photona?

– Jako studenci chcieliśmy wystartować w konkursie Microsoftu Imagine Cup. Szukaliśmy pomysłu, który mógłby się tam wybić i wyróżnić. Okazało się, że tam nigdy nie było robotów. To był punkt wyjścia do dalszych rozważań. W ich toku trafiliśmy na badania dotyczące problemów dzieci z logicznym myśleniem. To podsunęło nam prosty pomysł – przecież robot mógłby tutaj pomóc ucząc dzieci programowania. Dla nas, jako programistów, była to naturalna droga rozwoju.

– W początkowym etapie nasz zespół składał się z pięciu osób – dwóch konstruktorów, dwóch programistów i jednego nauczyciela akademickiego. Obecnie jest nas trochę więcej, ale podstawowa grupa pozostała niezmienna.

Jak długo trwały prace nad Photonem?

– Zaczęliśmy w listopadzie 2014 r. Prototyp powstał w garażu w trzy godziny. Sprawdziliśmy wtedy czy łączy się z aplikacją i na co pozwala bluetooth. To był prototyp bez żadnego wyglądu. Miesiąc później stworzyliśmy już robota w obudowie 3D, a cztery miesiące później powstał grubiutki, pulchniutki robocik na Imagine Cup. To był etap, gdy poznawaliśmy możliwości mechaniczne i wykrywaliśmy błędy. Dopiero po zdobyciu wiedzy i pięciu miesiącach pracy zaczęliśmy projektowanie na nowo.

– Prace nad znanym wszystkim prototypem trwały około roku i zrobiliśmy w tym czasie 15 iteracji tej generacji robota. Różniły się mechaniką, funkcjonalnościami, elektroniką, mocowaniami itp. Elementami.

Photon wygląda bardzo przyjaźnie. Czy od początku miał się tak prezentować?

– Pierwsze trzy prototypy wyszły spod ręki naszych konstruktorów. Żartowaliśmy nawet, że mają dość ciężką kreskę. Gdy wygraliśmy Imagine Cup i widzieliśmy potencjał rozwojowy stwierdziliśmy, że musimy zaprojektować robota od nowa. Naturalnym kierunkiem było zaangażowanie przyszłych użytkowników Photona, czyli dzieci. Zapytaliśmy je, jak powinien wyglądać robot. Zrobiliśmy ankiety obrazkowe, w których dzieci mogły pokazać co im się podoba, a co nie w wyglądzie zabawki. Współpracowaliśmy z projektantami z Krakowa, którzy wszystkie pomysły dzieci przerabiali na szkice. Te trafiały znów do dzieci, które oceniały je i dawały poprawki. W sumie było około 15 projektów robotów i w końcu doszliśmy do tego, który mamy obecnie.

Kickstarter to już sukces. A jakie planujecie dalsze kroki?

– Wyznaczamy sobie kolejny cel, czyli uzbieranie 100 000 dolarów. Za te pieniądze chcemy znacznie przyspieszyć produkcję i prace oraz zaangażować dodatkowych specjalistów, którzy pomogą w rozbudowaniu aplikacji sterującej robotem, tak żeby dzieci mogły się uczyć nowszych i jeszcze ciekawszych rzeczy.

– Mamy w kampanii wyzwania dla rodzin z dziećmi. Mogą w nich brać udział wszyscy, nie tylko osoby, które kupiły Photona. Są tam ciekawe zadania, jak np. zrobienie zdjęć tak samo ubranych rodziców i dzieci. Każdy może to zrobić dla zabawy. Jeśli odpowiednia ilość osób wykona te

wyzwania, to ulepszymy finałowego robota – może otrzyma nowy plecaczek, usta czy coś jeszcze innego.

Skoro już mowa o dodatkach, to czy pełnią one funkcje tylko estetyczne?

– Nie. One pełnią konkretne funkcje. Aplikacja rozpoznaje co zostało założone na robota. Przykładowo plecak rakietowy z dwoma dyszami zwiększa trochę szybkość robota, a plecak astronauty zwiększa ją jeszcze bardziej. Możemy wykrywać podpięte do Photona rzeczy i zmieniać jego charakter, wydawane dźwięki czy wprowadzać specjalne ruchy. Jest tu wiele możliwości. Cały czas pojawia się coś nowego. Dużo fajnych pomysłów podsuwają nam rodzice i dzieci. Mamy naprawdę w czym wybierać.

Czy Photon będzie aktualizowany?

– Robota projektujemy tak, aby można się z nim było połączyć z różnych aplikacji, więc poza aplikacją bazową i fabułą będziemy mogli dodawać kolejne elementy, np. naukę języków obcych. Będziemy pytać rodziców czego potrzebują i w tym kierunku będziemy rozwijać Photona.

Czy jest możliwość przetestowania Photona?

– Będzie jeszcze niejedna okazja. Prezentujemy obecnie wersje deweloperskie i robimy ciągle testy, ale nie prowadzimy raczej otwartych warsztatów. Jesteśmy małym zespołem, więc siłą rzeczy nie możemy robić wszystkiego naraz. Skupiamy się teraz na kampanii.

Czas na najważniejsze pytanie. Photon przeznaczony jest dla dzieci. Czy jest zatem odpowiednio wytrzymały?

– Tutaj też przeszliśmy długą drogą. Podczas imprezy mikołajkowej w Microsofcie przez pięć godzin Photonem bawiło się 400 dzieci.

Zabraliśmy ze sobą sześć robotów i wróciliśmy z dwoma. Dzieci pokazały, jak można zniszczyć zabawkę, gdzie coś może pęknąć i co się urywa. Dzięki tym i innym testom widzieliśmy co trzeba poprawić. Doszliśmy teraz do etapu, gdzie bawiliśmy się robotem w lesie. Dzieci potrafiły go zrzucić, uderzyć nim o kamień, czy wrzucić do piasku. Może się trochę porysował, ale nic nie pękło, wszystko jest naprawdę wytrzymałe i robot działa.

Dzieci uwielbiają Photona /materiały prasowe

W zbiórce na Kickstarterze podkreślacie elementy charytatywne. Czy roboty trafią też do mniej zamożnych dzieci?

– Mieliśmy okazję odwiedzić z Photonem oddział onkologii dziecięcej. Zobaczyliśmy, jak nasz robot potrafi poprawić humor chorym maluchom. Zrozumieliśmy, że priorytetem musimy znaleźć sposób przekazania naszego robota tam, gdzie sam nigdy by nie dotarł. Okazało się, że Photon może być odpowiednikiem zwierzątka, którego siłą rzeczy nie

można mieć w szpitalu. Dlatego w ramach zbiórki na Kickstarterze udostępniliśmy dwie opcje.

– Każdy uczestnik zbiórki może wpłacić 5 dolarów. Zebrana pula zostanie wykorzystana na sfinansowanie produkcji i wysyłki robotów do wybranych placówek. Druga opcja związana jest z wyzwaniami dla rodziców, które są dostępne na stronie zbiórki. Im więcej zadań zostanie wypełnionych, tym więcej robotów trafi do potrzebujących dzieci.

Więcej przeczytasz w serwisie www.mamdziecko.pl.

JAWA: WYSPA UŚMIECHNIĘTYCH LUDZI

Agnieszka Łopatowska

Świątynia Bromobudur /Styl.pl

Jeśli uważasz, że życie z dnia na dzień nie ma sensu, nie rozumiesz jak można chcieć mieć tylko tyle, ile wystarczy do skromnego życia,

uwielbiasz narzekać i nienawidzisz, kiedy ludzie uśmiechają się do ciebie bez powodu – nie czytaj tego tekstu. I nie jedź na Jawę.

Na Jawie, choć nie jest największą spośród 13,5 tys. wysp należących do Indonezji, leży stolica tego kraju – Dżakarta. Podróżując z tego, leżącego na zachodzie wyspy miasta aż do jej wschodnich krańców zauważa się wszechobecne kontrasty, ale też uczy się zupełnie innego podejścia do rzeczywistości. Ze spokojem i uśmiechem. Oto jawajski styl życia od A do Z.

Aura

W Indonezji nigdy nie wiesz, kiedy spadnie deszcz (chyba, że akurat trwa pora deszczowa, to leje na okrągło). Jak to na równiku, w pozostałych porach roku nawet kiedy świeci piękne słońce, nagle nadchodzą czarne chmury, a wraz z nimi potężna ulewa. 10 minut później ulice są już suche. Człowiek, który nie miał przy sobie parasola też wysycha dość szybko. Zmoknięciem niewielu się przejmuje. Kiedy ulewa trwa dłużej, niż zazwyczaj o danej porze roku, Jawajczycy są raczej zdziwieni niż źli.

Od wieków przyglądają się za to sile wiatru. Nad polami ryżowymi latają czarne latawce – przydomowe stacje meteorologiczne. Jeśli latają wysoko, będzie dobra pogoda, a to zwiastuje obfite zbiory. Latawce w innych kolorach są po prostu dziecięcymi zabawkami.

Angklung

Muzyka płynąca z angklungów – bambusowych instrumentów, towarzyszy nam na Jawie niemal na każdym kroku, nie tylko w miejscach turystycznych. Dla turystów to nie lada atrakcja, bo można się na nich

nauczyć grać nawet nie posiadając specjalnego talentu muzycznego, po prostu potrząsając instrumentem w odpowiednim miejscu. Gwoli ścisłości nie potrzeba talentu do gry na jednym anklungu, ale gorsza wiadomość jest taka, że występują one zazwyczaj w całej gamie.

Muzycy z anklungami najczęściej występują z zespołami grającymi na gamelanie, czyli tradycyjnym indonezyjskim zestawie instrumentów, w skład którego wchodzą przede wszystkim pionowe i poziome gongi, ksylofony, instrumenty strunowe, flet i ksylofon. Dźwięk gamelanu bywa istnie transowy.

Bandung

Życie w mieście uznawanym za stolicę Sundajczyków – drugiej co do wielkości, po Jawajczykach, grupy etnicznej zamieszkującej te tereny koncentruje się głównie wzdłuż dwóch arterii. Afryki–Azji nazwanej tak na cześć szczytu państw z tych kontynentów sprzeciwiających się wojnie i kolonializmowi z 1955 r. oraz Bragi. Przy pierwszej znajduje się wiele hoteli i instytucji publicznych, druga zaś to mekka artystów i ludzi lubiących dobrą zabawę. Można tu kupić rozliczne dzieła sztuki, choć zazwyczaj wątpliwej wartości artystycznej. W knajpce o perspektywicznej nazwie „Hangover” (kac) podają makaron curry carbonara – azjatyckie wydanie włoskiego specjału, tylko dla odważnych. W świętym miesiącu muzułmanów kelnerzy serwują innowiercom „ramadan tea”, czyli piwo w… eleganckim serwisie do herbaty.

Batik

Najpiękniejsze tkaniny ozdabiane metodą batikową to delikatne jedwabie barwione na niesamowite kolory, ze wspaniałymi wzorami oraz

obrazy na płótnie. Ich twórcy malują wzory pisakiem przypominającym fajkę, do którego nabierają wosku lub stearyny – w zależności od tego, jaki efekt chcą uzyskać. Po farbowaniu pod wzorem „namalowanym" tymi środkami pozostaje ślad. Na wybrzeżach koloruje się materiały na odcienie niebieskiego, w głębi lądu znajdziemy kolory ziemi – beże i brązy.

Nieco szybszą metodą jest stemplowanie – odpowiednio przygotowaną formę zanurza się w ciepłym wosku i przykłada kawałek po kawałku do tkaniny. Jak rozróżnić oryginalny batik od podróbki oferowanej przez ulicznych sprzedawców? Wystarczy obrócić go na lewą stronę – jeśli jest jaśniejsza i nie ma tak samo intensywnego wzoru z obu stron – znaczy, że wzór został mechanicznie nadrukowany.

Mistrz batiku Wiji Hartono Kabul z Yogyakarty /Styl.pl

Ceny

Jak to w Azji, ceny w Indonezji są płynne. Zwłaszcza na ulicznych straganach, gdzie króluje metoda negocjacji. Dobrze mieć mniej więcej rozeznanie co ile kosztuje, sprawdzając to na przykład w supermarkecie, by potem znacznie nie przepłacić. Ponieważ w ciągu ostatnich 20 lat wartość pieniądza w Indonezji obniżyła się ponad sześciokrotnie, będąc turystą łatwo tu zostać milionerem. Milion rupii indonezyjskich to równowartość około 100 dolarów, czyli 400 zł. Za ramadan tea płaciliśmy od 50 – 150 tys. rupii, za pizzę 120 tys., za magnes na lodówkę od 10 tys., za świeżego kokosa 50 tys., a za przepyszną, gotowaną na parze kukurydzę z ulicznego straganu 5 tys. Wszystko to z instynktem samozachowawczym i asertywnością na najwyższym poziomie, inaczej sprzedawcy bez mrugnięcia okiem rozmieniliby rzeczony milion na kilka kompletnie do niczego niepotrzebnych przedmiotów ze swojego asortymentu. Jeśli macie wystarczająco dużo samozaparcia, nawet w sklepach możecie wynegocjować tzw. cenę poranną danego towaru, wykorzystując fakt, że rano jest mniejszy ruch.

Dżakarta

W stolicy Indonezji mieszka 10 milionów ludzi, w całej aglomeracji około 14. Prawdopodobnie, bo nikt tu nie jest w stanie przeliczyć imigrantów i bezdomnych. Poruszając się po ulicach Dżakarty trzeba się przyzwyczaić do dwóch rzeczy: niekończącego się tłumu i setek tysięcy pojazdów poruszających się ruchem lewostronnym. Kiedy już wydaje ci się, że możesz spokojnie przekroczyć ulicę, zza pleców wyjeżdża ci stado skuterów. Bywa niebezpiecznie.

Dżakarta przeżywa właśnie drugą młodość dzięki rządowym i chińskim inwestycjom. Na gruzach dawnych wiosek rybackich planowane są okazałe apartamentowce, a w 2018 roku ma ruszyć metro.

Holendrzy

Kiedy pytamy pewnego Indonezyjczyka, co myśli o Holendrach, wzrusza lekceważąco ramionami: „Teraz już nie mamy z nimi problemu". Holendrzy, choć nie jedyni w historii, kolonizowali Indonezję od XVII wieku. Mimo, że przywieźli wiele wynalazków, z chyba najbardziej tu docenianym rowerem na czele, wprowadzenie zachodniej cywilizacji na te tereny nie jest wspominane z wdzięcznością. Żeby zrozumieć nieco niesprawiedliwość dziejową, wystarczy porównać w muzeum narodowym w Dżakarcie plastikowe koraliki składane w darze indonezyjskim plemionom przez kolonizatorów ze srebrnymi bransoletami w prezencie od plemion.

Jedzenie

Amatorzy turystyki kulinarnej raczej wyjadą z Jawy rozczarowani. Czy będą próbować zjeść coś na ulicznych straganach, w lokalnych restauracjach, czy w 5–gwiazdkowych hotelach, raczej nie mają co liczyć na smakowe uniesienia. Podstawą kuchni jest tu ryż, podawany najczęściej z kurczakiem w różnej postaci oraz niesamowita ilość owoców. Trzeba jednak pamiętać, że kurczaki są znacznie chudsze od tych, które znamy w polskich stołów. Owoców w większości nie znamy, bo trudno u nas trafić na smoczy czy wężowy owoc. Pierwszy wygląda jak głowa smoka, a drugi pokryty jest skórką przypominającą wężową właśnie. Na kramach możemy kupić też m.in. wężowe oczy, żółte arbuzy,

gwieździstą karambolę, obierane maczetą kokosy, melony, mango, ananasy i przesłodkie małe truskawki. Wielkim przysmakiem są mangustynki zwane tam owocami szczerości, bo mają tyle cząstek słodkiego miąższu, ile listków na skórce. Znanego ze swojego nieprzyjemnego zapachu duriana można kupić na ulicznym straganie, ale lepiej zjeść go na miejscu – wiele hoteli wprowadziło zakaz wnoszenia ich do pokojów. Trochę to niesprawiedliwe biorąc pod uwagę, że podawana na każdym kroku papaja czym bardziej dojrzała, tym bardziej pachnie jakby ją ktoś przed chwilą zwrócił…

Jogyakarta

Zwana też pieszczotliwie Yogyą, to miasto położone w środkowej części Jawy i ważny ośrodek akademicki oraz rzemieślniczy. To w tej okolicy zobaczysz najwięcej pracowni batików, srebra, niesamowitych rzeźb z jednego kawałka drewna czy tradycyjnych drewnianych i skórzanych lalek. We wszystkie te przedmioty możesz się też zaopatrzyć na JL. Malioboro – miejskiej arterii, która tętni życiem nawet w ulewnym deszczu. Stoją przy niej wielkie hotele, centra handlowe i restauracje. Niełatwo się domyślić, że tam są, bo wejścia do nich zasłaniają setki kramów upchanych pod arkadami, na chodnikach i w zaułkach. Uliczni sprzedawcy do około 22:00 handlują tu między innymi wszelkimi pamiątkami, ubraniami, satajami (szaszłykami) z suszonych krabowych szczypców i herbatą przyrządzaną na specjalnych wózkach, z których oprócz imbryków i filiżanek wyciągają również stoliki i ławki.

Kobiety

Najliczniejszą grupą religijną Jawy są muzułmanie, na ulicach widać więc wiele kobiet w chustach na głowie. Na zachodzie i w środkowej części wyspy jest ich znacznie więcej, niż w mniej restrykcyjnej części wschodniej. Widać też różnice w wieku tradycyjnie ubranych kobiet – te najmłodsze już rzadko zasłaniają włosy. Niemniej na całej wyspie, nie tylko w świątyniach, lepiej ubierać się skromnie, bez większych dekoltów i krótkich spodenek. Przekonałam się o tym lecąc samolotem z liberalnego Bali do Dżakarty, kiedy na widok moich szortów opatulona od stóp do głów starsza pani (no dobra, wtedy gorzej ją określiłam) rzuciła mi taką niemą klątwę, że natychmiast poszłam założyć długie spodnie, a wyraz jej twarzy pamiętam do dziś.

Geograficznie i etnograficznie uwarunkowany jest też temperament mieszkanek wyspy – Sundajki z zachodu są bardziej uległe i podporządkowane swoim mężom, natomiast Jawajki na wschodzie są głowami rodzin, to kobiety władcze.

Kasty

Podział społeczny odgrywa do tej pory dużą rolę w kulturze Indonezji. Rozmawiając w lokalnym języku bahasa inaczej zwrócisz się do osoby starszej czy z wyższej kasty, inaczej do równego sobie, a jeszcze inaczej do kogoś, kto w drabinie zależności znalazł się poniżej. Świątynie były tak konstruowane, że przedstawiciele biedoty mogli dojść jedynie pod ich mury, a czym bogatszych rodów, tym mogli uczestniczyć w uroczystościach bliżej serca świątyni. Współcześnie wpływ tych tradycji widać przede wszystkim w szacunku, jakim darzą się tu ludzie.

Kontrasty

Jawa ma wiele warstw, nie tylko społecznych. Niemal na każdym kroku nie da się oprzeć wrażeniu, że jest wyspą pełną kontrastów. Najsilniej kiedy stoisz na tarasie widokowym podziwiając spokój i majestat wulkanu, a później wędrując jego kraterem czujesz, że w środku wszystko buzuje, od czasu do czasu zaznaczając swoją obecność wyplutym na zewnątrz małym obłoczkiem pary. Nad przecinającymi miasta kanałami ustawiono piękne donice z kwiatami. Szkoda tylko, że woda w tych kanałach jest brązowa, a ich brzegi upstrzone tonami śmieci. Szacuje się, że ponad 30 proc. mieszkańców Dżakarty nie ma dostępu do wody pitnej, ale buduje się tu metro. Na Malioboro zakupy w domach handlowych robią kobiety zakryte hidżabami od stóp do głów, ale z szalenie drogimi torebkami w ręku (to nie były podróbki). A w tym samym czasie na chodniku uliczni sprzedawcy zamieniają swoje kramy w miejsce do spania.

Lalki

Zanim na Jawie pojawił się islam, dominującą religią był hinduizm. Święta księga poświęcona życiu króla Ramy – Ramajana przedstawiana była w wielu miejscach kultu, między innymi w płaskorzeźbach na murach świątyń (najstarsze odkryte na tej wyspie pochodzą z VIII wieku n.e.). Odprawiając rytuały kapłani oprowadzali wiernych wzdłuż tych murów, przytaczając opowieści z księgi. Kiedy okazało się to zbyt monotonne i czasochłonne, Ramajanę zainscenizowano – najpierw w teatrze cieni, później teatrze drewnianych marionetek zwanym wayang golek. Te lalki są przepiękne! W teatrze cieni pojawiają się postaci z wyprawionej skóry cielęcej, ręcznie ozdabiane i malowane. Drewniane

marionetki również są rękodziełami, skonstruowanymi tak, że przedstawiają nawet subtelne ruchy głową. Zasadą jest jednak, że lalki – jako wcielenia bogów – nie mogą być wierną kopią człowieka, stąd ich wydłużone kończyny, przerysowane nosy czy wydatne brzuchy. Spektakle, przestawiające już tylko pojedyncze sceny, możemy obejrzeć już raczej w lalkowych manufakturach, lub w turystycznych restauracjach. Pełne widowiska są szalenie drogie – zamawia się je już tylko na śluby przedstawicieli wysokich kast.

Liczby

W Indonezji co rusz trafia się na symbole, zaczynając od odpowiedniej liczby piór mitycznego ptaka garudy w godle tego kraju po pawie, małpy i słonie przy domach i świątyniach. Odpowiednie kolory w sypialni chronią przed bezsennością, a inne przed złym myśleniem. Kiedy patrzysz na maszkaron z dwoma wężami, trudno znaleźć inną jego funkcję, niż ozdobną. A tu zaskoczenie: to data otwarcia restauracji na terenie pałacu sułtana. Każda liczba może zostać zobrazowana. Trójkę może symbolizować ogień, siódemkę koń, a dziewiątkę mięśnie.

Pieniądze

Indonezyjczycy żyją z dnia na dzień. Nie lubią się kłócić, obrażać i nie pragną więcej, niż potrzeba do skromnego życia. Dlaczego? Bo jutro może być wybuch wulkanu / trzęsienie ziemi / mocne tsunami i może ci wszystko zabrać. Może zginąć ktoś, z kim nie zdążyłeś się pogodzić. Wtedy straty będą boleśniejsze. Nie oznacza to oczywiście, że nie szukają okazji do zarobku. W porcie w Dżakarcie mężczyźni czekają na rozładunek towarów ze statku. Zarobią równowartość 11 dolarów na głowę za dzień

pracy. Wynagrodzenie policjanta pracującego na komisariacie wynosi około 5 mln rupii, jeśli ma żonę dostaje o 15 proc. pensji więcej i po 10 proc. dodatkowo na każde dziecko. Swoimi prawami rządzą się już wspomniani ludzie żyjący z negocjacji z turystami i wszyscy ci, których znaczną część wynagrodzenia stanowią łapówki – korupcja jest wielkim problemem tego kraju.

Piłka nożna

„Polandia? Robert Lewandowski!" – Indonezyjczycy nie mają wątpliwości, skąd pochodzi jeden z ich najulubieńszych piłkarzy. A fanami są wielkimi. Oglądają mecze nie tylko lokalnych drużyn, ale kibicują też ligom europejskim, o czym mogliśmy się przekonać oglądając występy reprezentacji Polski na Euro 2016. Nie było to zadaniem łatwym, bo rozgrywały się o północy i o 2. w nocy tamtejszego czasu, ale nie niewykonalnym. Momentami nawet bywało nam trochę wstyd, że kibicowali Polakom głośniej niż my. Niemcy i Francuzi mogli liczyć na bardziej żarliwy doping – flagi ich krajów zostały w tym czasie wywieszone na masztach przed domami kibiców.

Roślinność

Wchodząc do domowego ogródka czułam się jak w ogrodzie botanicznym. Na prywatnych plantacjach rosną kakaowce, mango, papaja, bananowce, chlebowce i inne drzewa owocowe, o których możemy tylko pomarzyć. Indonezja jest domem wielu przypraw, w tym goździków, z których produkuje się tu papierosy zwane kretekami, gałki muszkatołowej i wanilii. Tutaj powstaje najdroższa kawa świata – kopi luwak, której ziarenka palone są tuż po tym, jak zostaną wydalone przez

żywiące się nimi luwaki właśnie – zwierzątka futerkowe w Polsce zwane cywetami. Przy drogach rosną krzewy z pięknymi dzwonkowatymi kwiatami, wszędzie jest niesamowicie zielono. I te ogromne tarasy pól ryżowych…

Pola ryżowe to nieodłączny element krajobrazu /Styl.pl

Ryż

Szacuje się, że przeciętny Jawajczyk zjada rocznie 150 kilogramów ryżu. To główny składnik spożywczy, tuż przed kukurydzą, tapioką, skrobią palmy sagowej i bulwami taro (kolokazji). Najprościej zapiec go w liściach bananowca lub palmy kokosowej. Jeśli zostaniecie poczęstowani czarnym ryżem, wiedzcie, że tutaj to wielki rarytas.

Przy uprawach praca jest przez cały rok. W zależności od gatunku, ryż rośnie od 3, przez 4 do 6–7 miesięcy. Trzymiesięczny hoduje się na polach

wypełnionych wodą po kolana. Po zbiorach od razu sieje się na nowo.

Rzemiosło

Lalki i batik to najsłynniejsze wyroby rękodzielnicze tej wyspy. Nie można jednak pominąć zakładów produkcji misternych srebrnych ozdób, zakładów kamieniarskich i rzeźbiarzy. Brosze, kolczyki i naszyjniki są jakby tkane ze srebrnych drucików. Kamieniarze wyczarowują niesamowite ozdoby domów, domowych i przydrożnych świątyń oraz wizerunki strzeżących bram duchów kinara i kinari – symboli dobra i zła, między którymi każdy porządny Jawajczyk musi utrzymać równowagę, by jego życie było spełnione.

Bogowie, zwierzęta i… nagie kobiety to z kolei najpopularniejsze inspiracje rzeźbiarzy, którzy tworzą swoje dzieła z jednego litego kawałka drewna – od małych figurek po stoły i ławy, z których wyłaniają się spleceni w uścisku kochankowie. Hitem są też szklane wazony, które wyglądają jak bańki położone na konarze drzewa.

Słodycze

Słodki i ostry to dwa smaki, od których w Indonezji się nie uwolnicie. Herbata z imbirem jest tak słodka, że trzeba szukać wody do jej popicia. Słodkie okazują się również niektóre potrawy, które na pierwszy rzut oka trudno o to podejrzewać. Zaskoczeniem w drugą stronę bywają kompletnie niesłodkie desery, jak żelki z soku palmowego barwione na zielono lub czerwono sokiem z fasoli czy croissanty, do środka których wpakowano kawałek sera żółtego.

Do większości posiłków podawane jest chili w różnych formach, zazwyczaj sosu. Co do zasady czym bardziej czerwone, tym ostrzejsze.

Jako że każda zasada ma swój wyjątek, więc kiedyś wypaliło nam kubki smakowe chili pomarańczowe.

Świątynie

Kiedy staje się przed świątyniami Borobudur czy Prambanan, trudno uwierzyć, że to budowle datowane na VIII i IX w. n. e. Ich niesamowite konstrukcje, misterne płaskorzeźby z Ramajaną czy ogromne posągi bogów budzą szacunek dla cywilizacji, której były dziełem. Odkryte zostały przez Holendrów w XVII wieku, na początku XX były odrestaurowane. Nie zawsze wychodziło im to na dobre, bo podczas przygotowań do odbudowy Borobudur skradziono ponad 100 głów posągów buddy. Zostały sprzedane na Zachód do prywatnych kolekcji dzieł sztuki.

Podróżując przez Jawę napotkać można też wiele mniejszych, w zasadzie bardziej ołtarzy niż świątyń, w których na tronach zasiadają Shiva, jego karnacje, dzieci i żony, oraz przepiękne świątynie wodne, w których Indonezyjczycy dokonują rytuałów oczyszczających i w których biją źródła młodości.

Świątynia Prambanan /Styl.pl

Transport

37 proc. z 10 milionów mieszkańców Dżakarty porusza się pieszo. Kiedy mają przemieścić się na większe odległości, raczej skorzystają z angkorów (minibusów) czy bajajów (trójkołowych pojazdów podobnych do tuk–tuków) niż z komunikacji miejskiej. Ciekawostką jest fakt, że wszystkie przystanki autobusowe są umieszczone na podwyższonych platformach – to zabezpieczenie przez wodą, która wdziera się do miasta położonego o 5 m n. p. m. niżej niż port. W Jogyakarcie najlepiej skorzystać z becaka – tamtejszej rikszy.

Indonezyjczycy lubują się również w skuterach i motocyklach, których na ulicach jest naprawdę dużo. Między miastami i innymi wyspami latają samoloty lokalnych linii lotniczych, warto też korzystać z połączeń kolejowych.

Wulkany

Wyjście na krater wulkanu robi wrażenie. Jeszcze większe robi zejście do jego wnętrza. Tych chwil nie da się zapomnieć. W leżących niedaleko Borobudur Tangkuban Perahu (odwrócona łódź), Kewah ratu (krater królowej) i kraterze Domas buzuje siarkowa lawa i woda, która osiąga temperaturę nawet 106 stopni C – największą atrakcją turystyczną jest ugotowanie w niej jajka. W innych oczkach wodnych Domasu można moczyć nogi – mają „tylko” od 30–40 stopni ciepła.

Jeden z najpiękniejszych widoków, jakie miałam okazję w życiu podziwiać, to panorama trzech wulkanów: Batog, Bromo i Semeru o wschodzie słońca. Ogląda się ją z tarasu widokowego w wiosce Tonsari, gdzie żądni świetlnego spektaklu zbierają się już po 4. rano, żeby do 5:15 zająć jak najlepsze miejsce. Poświęcenie snu się opłaca: promienie słońca po kolei wyciągają każdy z tych wulkanów z mroku, po otaczającym je piaskowym morzu pełzają resztki mgły, a Bromo wydycha szare kłęby wulkanicznego pyłu. Nie ma nic piękniejszego, niż świadomość, że zaraz zajrzy się do wielkiej dziury, z której ten pył się wydobywa.

Najsłynniejszy wulkan na Jawie – Bromo /Styl.pl

Wynajętymi jeepami pokonuje się górskie ścieżki i piaskowe morze, by ostatnią część drogi, usłaną wulkanicznym pyłem, przejechać konno czy przejść pieszo. Jeszcze około 200 schodów i staje się na brzegu krateru. Z jego głębi buchają wielkie kłęby pyłu, trzeba nieco lawirować, żeby nie zejść z powrotem obsypanym nim od stóp do głów (a raczej na odwrót).

Oprócz turystów spotykamy też balijskich wiernych modlących się o powodzenie w nauce bądź interesach (pozostawili na górze statuetkę Ganeshi – hinduskiego bóstwa zapewniającego powodzenie w tych dziedzinach), sami też składamy ofiary – wrzucamy do krateru kupione wcześniej misie plecione z suszonych kwiatów. To tradycyjny prezent dla Kasumy – 25. dziecka swoich rodziców, którzy gdy nie mogli doczekać się potomstwa, obiecali wulkanowi w ofierze jedno ze swoich przyszłych dzieci. Najmłodsze z nich, by nie sprawiać rodzicom bólu związanego z tym wyborem, poświęciło się samo. Zgodnie z legendą, od tej pory jest

strażnikiem Bromo i wstawia się u bogów w różnych ważnych dla ludzi sprawach.

Zasady dobrego życia

Wiara jest ważną częścią życia Jawajczyków. Opiera się nie tylko na naukach Koranu czy też Ramajany, ale przede wszystkim na wierzeniach tradycyjnych, przekazywanych tu od pokoleń, w ogromnym szacunku do przodków.

Choć kodeks karny jest bardzo restrykcyjny – dość wspomnieć o planowanej na wrzesień egzekucji ponad 30 więźniów, większe znaczenie ma kodeks moralny. Jest on dokładnie określony. Masz pięć aspektów życia, które czynią je dobrym i pięć, które je niszczą. Twoje życie jest dobre, kiedy masz: pracę (narzędzia), dom, męża / żonę (rodzinę), konia (albo bardziej nowoczesny transport) i hobby, coś co daje ci przyjemność. Strzec się musisz (w kolejności od najgorszego przewinienia): kradzieży, zdrady małżeńskiej, hazardu oraz sięgania po alkohol i narkotyki.

– Jeśli przestrzegasz tych zasad, twoje życie jest spełnione – tłumaczy Kholid. – A poza tym nigdy się nie martwimy i nie mamy złego humoru. Ciągle się uśmiechamy, bo mamy pozytywne nastawienie do świata.

Indonezyjczycy są szalenie pogodnymi ludźmi - tutaj człowiek podwożący turystów konno pod wulkan Bromo /Styl.pl

Więcej przeczytasz w serwisie www.styl.pl.

Redakcja: Agnieszka Łopatowska

Projekt okładki: Joanna Tracz

Koordynator projektu: Barbara Juranek

Kraków 2016

Plik opracował i przygotował Woblink

www.woblink.com